

ROK LIX.

CENA NUMERU 1.40 gr.

Nr. 6

BILUSZCZ



WARSZAWA, 6 LUTEGO 1926 ROKU

Prosimy o rychłe wpiacanie prenumeraty za miesiąc luty.
Czeki P. K. O. dołączyliśmy do Nr. 4 „Bluszczu“.

OD ADMINISTRACJI

Z powodu wprowadzenia z dniem 1 stycznia r. b. nowych przepisów pocztowych dla wydawnictw i czasopism, niektóre nasze prenumeratorki nie otrzymały w czasie właściwym pierwszych N-rów styczniowych zaś inne otrzymały po 2 egz. Powstałe z powodu tego reklamacje prenumeratorek obecnie wyjaśniamy i załatwiamy.

Celem usunięcia na przyszłość podobnych nieporozumień objaśniamy raz jeszcze, że prenumerata „Bluszczu“ obecnie jest przyjmowaną dwojako, a mianowicie:

1) bezpośrednio w Administracji, względnie na konto czekowe w P. K. O. Nr. 3700 lub za przekazami pocztowymi, zaadresowanymi do Administracji „Bluszczu“.

2) w działach gazetowych urzędów i agencji pocztowych, względnie przez listonoszów.

Czytelniczki, prenumerujące „Bluszcz“ pierwszym z powyższych sposobów otrzymują go w opaskach za imieniami adresami i wszelkie reklamacje z powodu nieotrzymania kolejnego N-ru powinny kierować wprost do Administracji, zaś prenumeratorki, korzystające z nowego sposobu prenumeraty w urzędach pocztowych, otrzymują „Bluszcz“ na podstawie prowadzonych w urzędach pocztowych ksiąg, przyczem ani nazwisk, ani też adresów tych prenumeratorek Administracja nie posiada.

Wszelka korespondencja i reklamacje tych prenumeratorek winny być przeto składane w odnośnych urzędach pocztowych i przez urzędy te załatwiane.

2 TOMIKI ZŁ. 5.

ANNA SŁONCZYŃSKA

2 TOMIKI ZŁ. 5.

MUZYKA SŁOŃCA I BOŻE GNIAZDO

Nakład Ludwika Chomińskiego. Wilno.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

KTO MA BRODAWKI NA TWARZY I RĘKACH
KTO CIERPI NA ODCISKI (ODGNIATY) NA NO-
GACH, NIECH KUPI PASTĘ

ESTA

ZNANĄ OD CZTERDZIESTU LAT ZE SWEJ
SKUTECZNOŚCI, CZEGO DOWODEM SĘTKA
UZNAŃ I PODZIĘKOWAŃ

wyrobu aptekarza E. SOKALSKIEGO w Kętach—Małopolska.



ROK LIX

№ 6

BLUSZCZ

TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 5 LUTEGO 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Biblioteka dla dzieci w Warszawie—*J. B. Rycerstwo pokoju—J. O. K. Magdalena Sémer—C. Walewska. Engadin w zimie—Hanna Mortkowiczówna. Wiersze: Faust—J. W. Goethe—(przekład Emila Zegadłowicza). O szczerości—M. Maeterlinck—(Tłum. Wanda Borucka). Myśl o tem co chcesz (c. d.) Helena Ceysingerówna. Margarbina de Bois de Boulogne (groteska w 3 aktach) c. d.—Magdalena Samozwaniec. Jedno spojrzenie (dok.)—*Marja Kuncewiczowa. Córka Boga (c. d.)—Z. Zawiszonka. Kobieta w świecie i w domu—Z. B. Ze świetlic Koła Polek. Z teatrów—Z. P. Z Ruchu wydawniczego. Dział praktyczny: Mody i roboty Jak ubierać naszych synów—*W. D. Stosowne ubranie—J. S. Piśmiennictwo ogrodnicze (dok.)—Stan. Schönfeld. Z dziedziny kosmetyki—Dr. J. Świtalska. Umiejętność oszczędzenia w gospodarstwie domowym—H. Z odpowiedzi na jeden z listów—Pani Elżbieta. Przepisy gospodarskie—Pani Elżbieta. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Nadesłane do Redakcji. Dodatek powieściowy: „Jaremką i Hamlet” (kronika zdarzeń z życia pewnego chłopca, jego psa i prowincjonalnego miasta (c. d.)—*Hugh Walpole—(tłum z angielskiego Irena Wasiutyńska). ARKUSZ WZORÓW.****

BIBLIOTEKA DLA DZIECI W WARSZAWIE



a łamach „Bluszczu“ p. Z. B. podała interesujący opis Czytelni Dziecięcych w Monachjum, przyczem artykuł swój zakończyła pytaniem: kiedyż wreszcie i w naszym kraju powstaną takie czytelnie, z których dzieci nasze

czerpaćby mogły naukę i pożytek?

Na to zapytanie, od którego wieje smutek, odpowiadam dobrą nowiną: w Warszawie pierwszy krok jest już zrobiony, Biblioteka taka już istnieje i funkcjonuje z pożytkiem, jak się zdaje, dla swych młodocianych czytelników.

Biblioteka dla Dzieci, założona w marcu r. ub przy Bibliotece Publicznej (Koszykowa 26), jest wzorowana na bibliotekach dziecięcych belgijskich. Mieści się w pięknej, jasnej, wysokiej sali. Wokoło dużego i mniejszego stołu ustawione wyściełane ławki-kanapy i krzesła; pozatem ławki stoją pod ścianami i oknami, tak iż dzieci swobodnie wybierają sobie miejsce do czytania. Na stołach kwiaty i napisy, przypominające o kardynalnych wymaganiach czytelnictwa. Pod ścianą niskie półki z uło-

żonemi książkami. Książki rozmieszczone grupami, przy każdej grupie napisy informujące: Powieści, Bajki, Podróże i przygody, Przyrodnicze, Historyczne i t. d.

Dzieci wybierają książki samodzielnie; Bibliotekarka obserwuje dzieci i w razie niezdecydowania, lub nieorientowania się dziecka pomaga mu i doradza. Następnie po wybraniu książek dzieci, nieskrępowane żadnymi formalnościami, siadają do czytania; dopiero po przeczytaniu książki oddają ją bibliotekarce, która robi odpowiednie adnotacje na karcie dziecka, książkę zaś odkłada na właściwe miejsce. Jeżeli dziecko książki nie skończyło, prosi o odłożenie jej do następnego razu.

Kontyngent czytelników składa się przeważnie z dzieci, uczęszczających do szkół powszechnych. Wiek dzieci 7—14 lat. Biblioteka otwarta trzy razy tygodniowo: w środy i piątki 4—6 pp., w niedziele 11—1 pp. W piątki dzieci poza czytaniem mają urządzone czytanki i opowiadania.

Frekwencja jest znaczna. W ciągu ośmiu tygodni, od 7-X do 1-XII r. ub., t. j. podczas ostatniego

okresu, dla którego została opracowana szczegółowa statystyka, było czytelników 1001, co stanowi liczbę tembardziej pokąźną, że Biblijoteka, jak wspomniałem, otwarta jest tylko trzy razy w tygodniu (częśćiej otwierać jej nie można ze względu na warunki lokalne).

Cele naszej Biblijoteki nie wyczerpują się bynajmniej dostarczaniem dzieciom kulturalnej i szlachetnej rozrywki, udzielaniem im zdrowej strawy duchowej. Dążeniem naszym jest wydobyć z dziecka i rozwinąć w niem maksimum samodzielności, odpowiedzialności, wyrobić w niem zalety społeczne, obudzić i wychować człowieka — obywatela. O to ostatnie zadanie należy dbać szczególnie pieczołowicie, gdyż wyznać trzeba, że i my, dorośli, tymczasem jeszcze w zaraniu państwowości wykazujemy niestety, aż nadto często brak wykształcenia obywatelskiego. Dążymy więc do tego, aby dziecko nauczyło się lojalności w wypełnianiu przepisów, aby przywykło do brania odpowiedzialności za siebie, za swoje czyny. Jeżeli np. uda nam się przeprowadzić, aby dzieci same kontrolowały czystość rąk swoich, zanim wezmą do czytania książkę z grupy, przy której widnieje napis: Kto ma czyste ręce, może czytać te książki — będziemy mogli słusznie uważać, że w dzieciach zakiełkowało już poczucie lojalności i odpowiedzialności. Co do metody postępowania stawiamy sobie zadanie działać nie zakazem, lecz zachętą; nie karą, lecz pochwałą.

Biblijoteka dla Dzieci powstała, jak to bywa zwykle w pracy kulturalno-oświatowej, z inicjatywy prywatnej. Myśl założenia tej instytucji skupiła nieliczne grono osób, które wysiłkiem woli powołało Biblijotekę do życia. Istotnie wysiłkiem woli, żadnego bowiem oparcia materialnego nie było. Zczasem, kiedy Biblijoteka zaczęła ściągać coraz większą ilość dzieci, wyłoniła się konieczność zaangażowania stałej biblijotekarki, aby pracy zapewnić jednolitość i umożliwić wejście w ściślejszy kontakt z dziećmi, co przy zmieniających się osobach dyżurujących byłoby nie do osiągnięcia. To zmusiło nas do zorganizowania Koła Przyjaciół Biblijoteki dla Dzieci, którego członkowie składkami miesięcznymi (2 zł. mie-

sięcznie wpłacają dorośli, 1 zł. dzieci) umożliwił nam zaangażowanie stałej biblijotekarki.

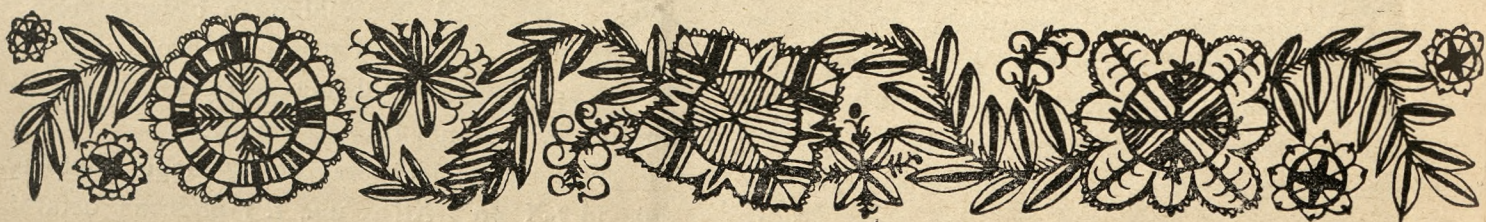
Niniejszą wzmiankę o Biblijotece dla Dzieci, istniejącej w Warszawie, podaję, mając dwa względy na uwadze: 1) pragnę podzielić się z ogółem tą pocieszającą wiadomością, że i u nas jest już zaczątek tej pracy, którą tak owocnie i rozlegle stosują w krajach Ameryki i Europy Zachodniej i 2) pragnę zachęcić do zakładania choćby najmniejszych Biblijotek tego typu tam, gdzie istnieje jakakolwiek tylko tego możliwość.

Sądę, że po pierwszej w Warszawie próbie należałoby dążyć do tego, aby całą Polskę objąć siecią podobnych Biblijotek. Zarówno w Warszawie na krańcach miasta, gdzie dzieciom jest bardziej jeszcze potrzebna opieka kulturalna, niż wśródmieściu, jak i w miastach mniejszych, miasteczkach, osadach i wsiach należy zakładać Biblijoteki tego typu, które wtedy dopiero spełnią właściwe swe zadanie kulturalne, gdy wystąpią masowo i przygarną liczne rzesze dziecięce.

W szczegóły powołania do życia Biblijoteki dla Dzieci, istniejącej w Warszawie, wdałam się dlatego, że pragnęłam przypomnieć, iż wysiłek woli może zawsze coś zdziałać. Wszędzie, gdzie znajdzie się choćby jedna osoba, która postawi sobie za zadanie stworzenia takiego kulturalnego ośrodka, Biblijoteka dla Dzieci wcześniej czy później powstać może i powinna. Na początek niechaj będzie choć kilkanaście książek, zebranych pośród znajomych, jeden pokój, uzyskany na parę, lub kilka godzin tygodniowo, choć jedna osoba, która otoczy dzieci przez tych kilka godzin opieką — i gotowy zaczątek Biblijoteki dla Dzieci.

Im lepiej dzieci wychowywać będziemy, tem lepszych obywateli kraj uzyska.

Niech przykład Warszawy zachęci prowincję — niech przy każdej biblijotece publicznej powstanie biblijoteka dla dzieci. Niech dziatwa nasza od najwcześniejszych lat uczy się współżyć z książką — niech praca w biblijotece, lub w czytelni stanie się jej szlachetnym nawykiem,



RYCERSTWO POKOJU

Poglądy tu wyrażone nie pokrywają się ze stanowiskiem Redakcji. Do ważnego tematu, poruszonego w poniższym artykule, powrócimy w następnych numerach „Bluszczu”.
(Przyp. Red.)

Jedna z przedwojennych książek Wells'a przewiduje okropności wojny, uzbrojonej w genialną technikę współczesną. Zabawnem się nam wydaje, że bitwy w powietrzu i wojna gazowa jakieś 15 lat temu wyglądały na ponurą fantasmagorię, utopią również było porozumienie wszystkich państw w imię pokoju. Żyjemy w niezmiernie ciekawej epoce, w której urzeczywistniają się w zawrotnym tempie najfantastyczniejsze majaczenia. To, co wczoraj było jeszcze mrzonką, dziś jest programem politycznym, a jutro winno być abecadłem każdego kulturalnego człowieka.

Wobec wojny przyszłości najkrwawsze fantazje Wells'a i Jules Verne'a są igraszką. Powinniśmy pamiętać nieustannie o tem, że przyszła wojna, uzbrojona w nowe wynalazki, wojna przedewszystkiem gazowa, będzie tak straszliwym kataklizmem, który równać się może tylko spustoszeniom żywiołów, zagrzebującym całe cywilizacje. Jedynym ratunkiem przeciwko niemu jest rozszerzenie się pacyfizmu i zreformowanie doszczętne ducha społeczeństw. Do tego dążyć zaczynają demokracje świata i w sprawie tej kobiety biorą już czynny udział. Istotnie tworzą się we wszystkich krajach i powstają towarzystwa pacyfistyczne, zwołujące różne kongresy pokoju, przyjaciół Ligi Narodów, itp.

Kobiety zaczynają odgrywać pewną rolę jako „rycerki pokoju”. Taka dyplomacja jest najistotniejszem powołaniem kobiety, z natury swej opiekunki wszelkiego życia, rodzicielki i żywicielki, pod różnemi postaciami walczącej w jego ochronie.

Idea pacyfistyczna pod naporem demokracji powoli zamienia się w program polityczny: w Ligę narodów, w protokoły genewskie w Locarno. Nikomu nie jest tajemem, że wyniki zebrań starych wilków dyplomacji w jagnięcych skórkach pacyfistycznych nie dają jeszcze zadawalających rezultatów, ale niewątpliwie są one i coraz bardziej będą uzależniane od opinii walczących o pokój demokracji świata.

Spółczeństwa same powinny się przejąć głęboko ideałem Stanów Zjednoczonych Europy, które mogą być jedynym skutecznym piorunochronem przeciwko wojnie.

Najgłębsze umysły widzą także w międzynarodowym porozumieniu ratunek dla krajów, ginących w spazmach kryzysów gospodarczych. Są to perspektywy myśli, widnokreśli światowe, ale co mają wspólnego z naszym życiem codziennem, życiem kobiet, pochłoniętych rodziną, lub pracą zawodową? Niewątpliwie współczujemy im teoretycznie, całem jestestwem protestujące przeciwko okropnościom wojny, w której rany same wkładałyśmy ręce. Ale tego zamało.

Powinniśmy te dalekie ideały wziąć blisko do serca, przeszczepić na grunt rodzinny, wpajać dzieciom, którym nie damy do rąk zabawek, armatek, szabel, żołnierzyków, od dziecka przyzwyczajających do myśli

o zabijaniu. Tych pałaszów złotych, szabelek i proporczyków, które były dla nas najświętszym symbolem wolności. Prawda! Rozumiemy, że jeszcze północ mrozem dmucha na kwiatki pacyfistyczne, zbrojenie się jest ciągle jeszcze warunkiem niepodległości, ale już ideały dziecka trzeba umieszczać w czemś szlachetniejszym, niż waleczność, a nawet bardziej twórczem, niż — obrona, w pracy. Jeżeli dziecko będzie umiało pracować, to i pracy tej bronić potrafi.

Ażeby społeczeństwa mogły zrealizować idee Stanów Zjednoczonych Europy w imię pokoju świata, trzeba, ażeby szerzej, jaśniej, bardziej po chrześcijańsku spojrzwały na swoich sąsiadów.

Trzeba obalić legendy, które z wrogich nam narodów czynią potwory, pozbawione ludzkich instynktów.

Przypomnijmy lata wojny, przypomnijmy te plakaty, wyobrażające wrogów w postaci szatanów. Czyż nie wierzyliśmy — stosownie do orientacji, że wróg nasz, to szatan wcielony? Pamiętam, damy rosyjskie, które w porywie patriotyzmu piszczały, że chciałyby Niemcom szpilkami wykluwać oczy!

Dużo jeszcze wody upłynie, zanim nie będziemy się wstydzili uznać się nawzajem za ludzi — z Niemcami i Moskalami.

Dużo wody jeszcze upłynie, zanim przestaniemy chełpić się nienawiścią do Niemców, Moskali, czy Żydów.

Patriotyzm nie polega bowiem na nienawiści do wrogów, lecz na tworzeniu, wypracowywaniu Ojczyzny.

Dopóki tego nie zrozumie każde społeczeństwo i każda rodzina, dopóki każda matka nie będzie tego powtarzała dzieciom, zawsze nad ich kołyską będzie wisiał miecz straszliwy wojny.

Tu jest właśnie wielki cel pracy dla kobiet całego świata, które zwalczając nienawiści rasowe i plemienne, powinny przygotowywać społeczeństwa do współżycia narodów. Idea ta bliska jest istotnym i najgłębszym tradycjom polskim.

O niej marzył Sobieski, jako o Lidze Książąt chrześcijańskich; czuł ją w sobie Kościuszko, walczący za wolność Ameryki i Legiony krwią piszące hołd Wolności.

Mamy jeszcze bliższe, jeszcze pilniejsze przed sobą zadanie. Jeżeli marzymy o pacyfikacji świata, musimy ją przeprowadzać uczciwie i konsekwentnie wewnątrz, u siebie.

Nie można deklamować o współżyciu narodów Europy, a jednocześnie stosować historycznie zaakcentowaną nienawiść do swoich mniejszości, traktując je tak, jak nas traktowali zaborcy.

Dziedzictwem niewoli jest nietolerancja i nienawiść do „inorodców”; przesłania nam ono istotnie polskie tradycje Unji Lubelskiej i Horodelskiej, tolerancji Złotego wieku, hasła „wolnych z wolnymi i równych z równymi”. Kobiety, którym istotnie zależy na starciu z oblicza ziemi węża wojny, powinny wszędzie i na każdym kroku zwalczać nienawiści rasowe i plemienne, wnoszące zarzewie walki wewnętrznej w Ojczyźnie. J. O. R



MAGDALENA SÉMER

I. PRZED NAWRÓCENIEM.

Poza literaturą mistyków, którzy prawie od urodzenia słyszą w sobie głos Boży, nie mniej ciekawą jest we Francji literatura „nawróceńców”. Po życiorysie i wyciągach z pamiętników, listów, poezyj misjonarki Siostry Marji Anzelmy*) życiorys i wyjątki z pamiętnika pięknej, światowej kobiety, wychowanej w bezwyznaniowości, wykarmionej nauką filozofów, negujących dogmat i w dojrzałym wieku dopiero rzuconej na próg kościoła **).

Jak Ernest Psichari, wauk Renana, autor „Głósów wołających na puszczy” (przetłumaczonych na polski przez p. Z. Morstinową). „Podróży centurjona” i innych, uczuła pani Sémer w sobie głód Boga po długich rozmyślaniach nad zagadką bytu, długiem wnikaniu w teorię uczonych, długich walkach życiowych i szamotaniu się wewnętrznym.

Magdalena Sémer pochodziła z rodziny ateuszów. Ojciec jej nie uznawał żadnych dogmatów. Jedynym jego kultem był kult J. J. Rousseau, na cześć którego nazwał córkę zaraz po urodzeniu Heloizą i dopiero później przywarło do niej imię Magdaleny. O chrzcie mowy nie było. Rozczytana w materialistach, a przedewszystkiem w Büchnerze, — nie odczuwa żadnych niepokojów, żadnych lęków duszy, dla której istniałoby coś po za zjawą konkretną. Wyszła za mąż wczesnie, a pan Sémer należał również do bezwyznaniowców. Ślub wzięli cywilny, a gdy przyszedł na świat pierwszy i jedyny syn, Paweł, nie ochrzczono go. Zapisany w księgi cywilne, jak rodzice i dziadkowie, miał już tak pozostać — zdawało się — na całe życie.

Ale zaszły nieoczekiwane wypadki. Jakiś szalony chwilowy Magdaleny, jakiś poryw namiętny, o którym w książce jest tylko, że był i przeszedł, rozłącza państwa Sémer na zawsze. Cały pierwszy rok miała Magdalena swego siedmioletniego synka przy sobie i oddała się wychowaniu jego z tą zachłannością, która ją cechowała we wszystkim. Po roku ojciec odebrał dziecko i wtedy zaczęła się martyrologja młodej kobiety.

Przyzwyczajona do wielkiego dobrobytu i do salonu, który prowadziła w domu męża, — pełna uroków towarzyskich, znalazła się naraz sama i bez środków do życia. Skromne zasoby starczyły zaledwie na kilka tygodni pogoni za pracą. Ale — gdzie jej szukać i co mogła zdobyć ta estetyka, zamiłowana w sztuce, rozkochana fanatycznie w Wagnerze, obdarzona pięknym głosem, nie wyćwiczonym wszakże tak, aby mogła dawać lekcje śpiewu — niezmiernie odczytana, biegła w filozofji, lecz bez podstaw metodycznej, gruntownej nauki, a przedewszystkiem — bez ściśle określonego zawodu w rękach. Gdzie rękojmnia systematyczności w podjętych zadaniach?

Miesiącami trwała włóczęga od biura do biura pośrednictwa pracy. Patrzono na nią ze zdumieniem — z niedowierzaniem.

Dama — wielka, olśniewająco piękna dama na liście bezroboczych?

*) ob. „Bluszczy” № 5.

**) Madeleine Sémer, *Convertie et mystique*, 1871—1921, par l'Abbé Felix Klein.

18 Edition. Paris. Librairie Blond et Gay 3, rue Garancière.

Podawała się o miejsce sekretarki — lektorki przy jakiejś starszej osobie, albo wychowawczyni dzieci. Panie „ze świata” patrzyły na nią, jak na Ewę kusicielkę, która weszła ogniska domowe, żeby je rozbijać. Jakżeż wpuścić taką do siebie?

Fundusze już wyczerpały się doszczętnie. Trzeba było porzucić pensjonat względnie wygodny. Gdzie znajdzie tanie, a bezpieczne schronienie?

Z ciężkiem sercem snuła się wzdłuż ulic Paryża, odwracając oczy od wspaniałych wystaw sklepowych, które budziły w niej wspomnienia chwil, kiedy mogła nie odmawiać sobie żadnej zachcianki. Jakież to dalekie! I — co ją czeka teraz?..

W tem — przed nią — mały cichy klasztor. Stała. Chwila wahania i — gwałtowne szarpnięcie dzwonka przy furtce zamkniętej.

Weszła do poczekalni. Zakonnica dyżurna zmierzyla ją wzrokiem, pełnym wątpliwości. Magdalena poprosiła o chwilę rozmowy z Matką Przełożoną. Weszła osoba starsza, spojrzała na nią dobitnie.

Ach, ten słodki, wszechogarniający, wszystko rozumiejący wzrok! Roztajało serce Magdaleny. Coś nieprzewartą siłą rzuciło ją ku sędziwej zakonnicy. Opowiedziała, że jest bez dachu nad głową, że prosi o schronienie na czas, dopóki nie znajdzie pracy i zawierzenia, że pierwsze zarobione pieniądze przeznaczy na spłatę długu, zaciągniętego w klasztorze na utrzymanie swoje. Matka Przełożona nie pytała o nic. Przycisnęła ją tylko mocno do piersi, zapewniając, że klasztor będzie dla niej ostoją, dopóki sama zechce.

Tak zadzierzgnęły się te pierwsze węzły między nią, a „świętą” zakonnica. Taki był pierwszy krok ku późniejszemu, dalekim jeszcze przełomom.

Przy klasztorze był pensjonat, jak zwykle, we Francji. Pierwszy wspólny obiad przy wielkim stole jadalnym, który zgromadził wszystkie pensjonarki, przejął zgrozą dewotki. Skąd znalazła się między niemi ta... jakaś tam... zdezonizowana księżniczka? Ciemna, skromna suknia, ale ten wielki rubin na białej szyi, pamiątka, z którą nie mogła rozstać się Magdalena, — lśniła, krwawa ła. Czy nie skandal?

Szeptaly między sobą, a Magdalena wiedziała, że to były pociski w jej stronę. Jedyną bratnią duszą poczuła w zbłąkanej tu przypadkiem amerykance, z którą jednak mogły porozumiewać się tylko na migi. Z pomocą przyszły im słowniki. Po pewnym czasie zbliżyły się z sobą serdecznie.

A nazajutrz znowu gonitwa za pracą. Znowu pełne niewiary, przebiegłe, chytre spojrzenia i znowu wszędzie odmowa — gwoździe, coraz głębiej wbijane w serce zbolale.

Nareszcie radość. Umowa zawarta z jakąś rodzinną niemiecką. Do dzieci, trochę do gospodarstwa, trochę w charakterze panny służącej. Otwierała drzwi gościom, gdy nie było pokojówki. Znosiła tysiące upokorzeń, biczowana co krok moralnie przez ludzi, którzy nie umieli wczuć się w jej tkliwą, subtelną duszę i ocenić wielkiej inteligencji umysłu. Przesadnie obowiązkowa, Magdalena jednak ciągle słyszała jakieś zarzuty. Suchy doktryneryzm niemiecki nie mógł znieść tego wykwinu i tego pierwiastku twórczego, jakie wkładała w każdą swoją czynność.

Jednak przebyła u nich rok blisko. Podróżowała z nimi po Niemczech i pełną piersią czerpała

nowe wrażenia. Nieraz — późnym wieczorem — zamknięta w swoim pokoju, pochylona nad Platonem, którego uwielbiała, lub nad zyciorysem Nietzschego przez Halévy'ego, w którym rozczytywała się namiętnie, — była zupełnie szczęśliwa. Spłacone wszystkie długi i zebrano trochę oszczędności na przyszłość. Dobre listy o synu i całej rodzinie.

Więc czegoż więcej żądać? Czyż mogły ją obrażać parwenjuszowskie zarzuty magnatów — pracodawców, od których czuła się wyższą moralnie?

Ale cudzoziemcy wymawiają jej posadę, więc znowu poszukiwania, znowu gorycze zawodów i rozczarowań. Klasztor i święta matka przełożona łagodzą teraz jednak rany jej duszy. Ma cichą kapliczkę zakonną, do której wpada o zmierzchu, żeby spowiadać się z męki swojej. Komu? — Jeszcze nie wie. Jeszcze światłość kojąca nie spłynęła w nią pojęciem i ukochaniem Boga. Jeszcze nie umie się modlić. Jeszcze tylko sama w sobie — w twardej woli pracy i spełnianiu zobowiązań widzi drogi swoje.

Ale już w tej cichej kapliczce o zmierzchu idzie ku niej dziwne skupienie. Przemyśla i przeżywa przeszłość swoją. A z tych przemyślań i przeżyć powstaje w niej



żądza doskonalenia się. Przysięga sobie nie odstępować nigdy od wskazań etycznych, żyć tak, aby każdej chwili mogła powiedzieć sobie: „Żyję dobrze.“ Budzi się w niej wielkie współczucie dla biednych. Pieniądze zapasowe na czarną godzinę topnieją, ale ostatnie grosze oddaje nędzy, która wyciąga do niej ręce.

Po długich staraniach dostaje posadę u 90-cio letniej bogatej staruszki. I tu dopiero znajduje się w otoczeniu, które odpowiada potrzebom jej intelektu i wysubtelnionej duszy.

Staruszka — żydówka z pochodzenia — prowadzi salon. Magdalena pomaga jej w przyjmowaniu gości — uczonych, literatów, przedstawicieli wielkiej finansjery, arystokracji, dyplomacji. Jest przytem sekretarką i lektorką pani A. S., prowadzi jej dom.

Mimo różnicy wieku obie kobiety przyłgnęły do siebie całą siłą dusz swoich szlacheckich i górnych umysłów.

Magdalena studjuje w tym czasie Bergsona, Jamesa i Emersona.

Prowadzą długie rozprawy ze staruszką, której goście zachwycają się bystrością i inteligencją pani Sémer.

d. c. n.

C. Walewska.

ENGADIN W ZIMIE

(list z podróży)

...Już od świtu, długie jeszcze godziny przed szwajcarską granicą, huczały nam koło lustrzanych szyb wagonu — wielkie Alpy. Skakały na prawo i na lewo bryłami swych śnieżnych kadłubów, w górę ku ostrym krawędziom zimowego nieba i w dół ku kamienistym źwirom zielonych, zimnych potoków, w tył, by zniknąć po chwili na zakręcie toru i w przód — naprzeciw, by przeciąć nam drogę czarną czeluścią tunelu. Czuliśmy, jak wspina się po ich zboczach, jak syczy między ich ścianami czarny wężyk naszego pociągu zwinnie, giętki i nieulekły — jak zostawia za sobą zwarte ich tłumy — nienazwane, nieznajome i niepotrzebne, by za chwilę nowe napotkać i nowe pożegnać.

— Bo góry w Szwajcarii nie są żadną świętością...

Pamiętasz, jak pobożnie, jak wolno i uroczyście zbliża się pociąg do ołtarza Tatr... Jak biegną mu na spotkanie szare kierdele góralskich chałup, tłoczą się po obu stronach jego drogi, suną wraz z nim pod górę, by wraz z nim przystanąć i przykleknąć modlitewnie przed stromą i dostojną ścianą Gewontu...

Pamiętasz, jak w Zakopanem... Przepraszam Cię zgóry za to zdanie — powtarza się je tutaj bardzo często — zrazu bezwiednie, potem z zawstyżeniem i mimowoli, a potem już z głuchą, wewnętrzną pasją: powtarza się je ciągle we wszystkich tonacjach od upokorzenia do pychy...

„U nas inaczej, inaczej, inaczej...”

A tu, na małych stacyjkach szwajcarskich stoją w lśniących kryształach szronu, białe, rozłożyste jabłonie, wdzięczą się zielone okiennice gashauzów,

dzieci w kolorowych pończochach idą z brodatym panem nauczycielem na spacer i słońce krzesze na twardych białych szczytach gór złotoróżowe błyski — wysoko pod szafirem nieba.

A tu, na stacji w Chur, kręcą się już chudzi Anglicy w pasiastych sweatrach, migają narty, ładowane do małych wagoników elektrycznej kolejki i niebieskie, miękkie powietrze pachnie migdałami. — A tu...

„Richtung Arosa“ — przecina naszą beztrzęsą czarną napis na stacji. „Arosa“... jest w tej nazwie ostry dreszcz gruźliczej gorączki i jest śmierć.

Coś co przypomina i dławi w każdej nazwie płucnego „uzdrowiska.“ Davos ma słodki zapach narkotyku i znużenia, Helvan — spiekotę wyschłych, chrypliwych oddechów, Meran — kwaśny i blade uśmiech pozornej rekonwalescencji, Mentona — czad mimozy, kładzionej na trumnę, a Zakopane...

...Nie wspominaj o Zakopanem, nie myśl o bladych twarzach na tle szarego płótna leżaka, o drogich grobach na Nowotarskiej ulicy...

Coraz wyżej, coraz wyżej łomoczą po zboczach Alp małe wagoniki pociągu. Na białych wierzchołkach zapalają się ognie zachodu, w siniejących, zasnutych fiołkową mgłą zmierzchu miasteczkach płoną już blade perły światła. Za chwilę omota nas granatową ciemnością ślepa noc — i nie zobaczymy już nic, aż do chwili, gdy z jej mroków i ciszy tyśiączne złote oczy wielkich hoteli St. Moritz, Pontresiny i Celeriny wyjdą nam swym blaskiem na spotkanie.

Grają radosną, poranną fanfarę orkiestry ślizgawek, dźwięczą ostre dzwonki sań, szczyty gór nie są już złote od wschodzącego słońca, wyraźnie rysują się białą światłą i błękitnawym fioletem cieni, na czystej ultramarynie nieba.

Drańieżna, rozdzwoniona radość śmieje się na białym śniegu w ulewie oślepiającego słońca.

Będziemy teraz w powodzi tego słońca przesypywać z ręki do ręki błyskotliwe klejnoty, koralowe drogie kamienie.

Dziwisz się? — Myślisz pewnie o kruchych, poryskliwych, dźwiękliwych kulach i płytach — oprawnych w złoto, które wdzieczą się tutaj do nas z okna każdej wystawy, o szlifowanych malachitach i jaderitach, rżniętych ametystach, o opalach, perłach, chrizolitach i chrizoparach.

Nie, nie — pójdziemy przecież na słońce...

Będą się nam sypać z rąk błyskotliwym gradem mroźne kryształki diamentowego śniegu, będą nam dzwonić o zgrabiące palce tęczą ostrych blasków i barw. Będą się przesypywać po gładkich, śnieżnych wstażkach dróg sznurem lapis lazuli i rubinów, szmaragdów i topazów — śliczne, strojne kobietki.

Zmruż oczy... Suną po wyslizganym śniegu giętkie płozy nart, zginają się lekko w biodrach i kolanach, mocne, proste nogi, wyswobodzone z ciasnych powijaków sukien, wysmukłe w cienkiej wełnie obcisłych spodni, ciężko kołyszą się zmęczone ramiona...

Zmruż oczy... Czerwień i lazur, szafir i złoto, płomień i zieleń, fiolet i czerń. — Lubisz układać gamy barw na białej palecie śniegu?

A teraz otwórz oczy i patrz! Patrz na kolorowy zamiesz kurtek i puszystą miękkość szali, na lśniące refleksy jedwabnych czapek, hafty barwnych wełnianych sweatrów i długie cienkie włosy bogatych fufer. Patrz na przyszyrzyżone czupryny i jasne oczy ślicznych, smukłych dziewcząt efebów i na ptasie, mocne, płowowłose głowy smukłych angielskich chłopców, na ciężkie wytrwałe, żelazne stopy w rzemiennych wieżbach nart i na lekkie, zręczne, stalowe stopy ponad błyskawicami lśniących łyżew.

Patrz, bo taki jest Engadin w dzień... kolorowy i słoneczny, strojny i beztroski, pod stopy się kładący iśniepańskiej wygodzie, pieniądzom i dostojestwom — i taki łatwy, taki łatwy...

Patrz, uśmiechaj się i przeż leniwie w słońcu ramiona. Nie będziesz tu, bracie, na swych zdartych, wyszczerbionych nartach tłukł się po wertepach, maliniakach i bezdrożach, nie będziesz się wspinał coraz wyżej i wyżej, z mozołem, po ostrych, granitowych krawędziach skał. Nie będziesz głodny, zmęczony i przemokły wracał nocą do czterech, pachnących żywicą i szczęściem, ścian swej smrekowej, ciemnej chałupy — z dalekich, niedostępnych dla innych, gór.

Tutaj łatwo jest na koniu tętnić po równych, gładkich drogach i na nartach pędzić za koniem po białej powierzchni jeziora i łatwo nawet jest być na szczycie.

Powiozą cię zębata kolejką wysoko, wyżej Garlucha, w czas, kiedy dziewiczy, niepokalany śnieg omdlewa i topnieje pod gorącą pieśczętą południowego słońca, rzucą ci w oczy białą i niebieską panoramę gór i powoli, powoli spuszczą znów na mocnych sznurach, w mocnej klatce wagonu, kiedy zapalą się na śniegach pod fiołkowym, ciepłym niebem różowozłote łuny; a z drugiej strony ciemna, znajoma przelecz odetnie się na topazie zachodniego nieba fioletem swej zębatej krawędzi.

I nie będziesz, półślepy ze zmęczenia, szukał drogi do domu, w labiryncie drózek, wśród opłotków górskich chałup, ani zgrabił rękami macał w ciemnościach, by z wilgotnej zapalki rozniecić blady ogienek.

Cicho rozewrą się oszklone podwoje hotelu, gdy z ciemności szafirowej nocy wejdiesz do oświetlonego hall'u, znowu zadzwonią akordy muzyki, czarne fraki pochyła się nisko w ukłonie, mali Anglicy w wytwornych smokingach uśmiechną się do małych Angielek w jedwabnych sukniach...

I zaczną się ślizgać po posadzce jadalnej sali szeregi kelnerów i po posadzce balowej sali giętkie sylwetki tańczących par.

Taki jest w Engadinie wieczór... Za oknami nocny mróz będzie rzeźbił tymczasem cichutko kryształki śniegu i szlifował tafle ślizgawek dla nowego kolorowego dnia.

A w Zakopanem...

„W Zakopanem miałbyś bracie siapaninę, halny, i błoto po pas — psiakrrrew!“ — powiedział ktoś dzisiaj rano w barwnym tłumie Anglików, Włochów, Francuzów i Holendrów, błyskając białą zębów i zabójczą zielenią sportowych pończoch. I kilka głosów roześmiało się bardzo młodo i bardzo po polsku.

Umiesznie jest spotkać nagle, gdzieś daleko, ludzi, miłanych codzień, szybko i obojętnie na Wspólnej i na Nowym Świecie, ścisnąć serdecznie ich dłonie i dowiadywać się od nich wielu niespodzianych i niewiadomych rzeczy.

„Hockey na lodzie“ „Reprezentacyjna drużyna“. „Czy pani naprawdę nie wie, co to jest hockey na lodzie?“ — „I pani naprawdę nie należy do A. Z. S-u?“ Dowiedziałam się, co to test hockey na lodzie, dowiedziałam się, że Akademicki Związek Sportowy ma drużynę hockeyową w Polsce nailepszą, i tego, że z dalekiego mego kraju przwieżdza tu gromada polskich chłopców by z gromadą Anglików, Niemców, czy nawet Kanadyjczyków stoczyć zażartą walkę na małym kwadracie szwajcarskiego lodu — i jeszcze jednej, najdziwniejszej rzeczy... Dowiedziałam się, że od ruchów gumowego krążka na tym lodzie może zależeć bicie mego serca!

Bo kiedy pada polska bramka, huczy dokoła radosny tumult obcego tłumy — a brawo Polakom biła tylko dwie moje dłonie i moje jedno serce. Bię dlatego, że Kulej, czy Kowalski strzelił gola, dlatego, że mała gumka wpadła w siatkę przeciwległej bramki.

Cóż mnie to mogło obchodzić wczoraj, dla czego mnie to obchodzi dziś? Skąd się rodzi nagle, niespodzianie, żywiołowy porwy patriotyzmu?

„Żywo chłopcy! Dalej go! W nich! Brawo, brawo, brawo!“

Śliczne Angielki pochylają ostrzyżone główki i w uśmiechu pokazują białe równe zębki. „Tiens, les Polonais — regardez!“ mówią małe Francuzeczki do opalonych smagłych Włochów.

A potem cichnie wszystko w napięciu i zaparzeniu. Dobiega do końca ostatni „half a times“.

Ponad grzbietem czarno-liljowej przełęczą niebo zielenieje już i ziębnie, przechodząc w płynne złoto na zachodzie. Różane refleksy pelżają po ciemniejącym śniegu.

Na małej błyszczącej tafli ślizgawki, w cieniu ogromnych Alp, coraz szybciej, coraz pewniej migocą na lodzie łyżwy, które swych precyzyjnych łuków, swych skoków, rzutów, zakrętów i niespodzianych zwrotów uczyły się przecież w Dolinie Szwajcarskiej — i, pożałuj Boże, — na Dynasach!

Hanna Morkowiczówna.

J. W. G O E T H E

przekład EMILA ZEGADŁOWICZA

F A U S T

Wobec wystawienia w Teatrze Narodowym arcydzieła Goethego podajemy Czytelniczkom fragment nowego przekładu Emila Zegadłowicza, który potrafił połączyć natchnioną bezpośredniość najczystszej polszczyzny z wierną i ścisłą interpretacją tekstu oryginalnego. Faust na scenie warszawskiej ukazuje się po raz pierwszy po latach zgorą czterdziestu. Pierwsza część olbrzymiego poematu dramatycznego dawniej bywała znacznie skracana. Obecna technika pozwoliła zamknąć w ramach kilkogodzinnej widowiska nieomal wszystkie zasadnicze elementy spolszczonego arcydzieła.

Dłuższe sprawozdanie z wystawienia Fausta pomieścimy w następnym numerze „Bluszczu“.

(Przyp. Redakcji).

F R A G M E N T O D S Ł O N Y V.

MEFISTO, przebrany w tokę Fausta i UCZEŃ.

MEFISTO: Już mam po uszy uczonaj manjery:
Dość, mości djable, bądźno teraz szczerzy!
(głośno do ucznia:)

O, medycynę ogarniesz z łatwością,
Trza jeno poznać świat, rozmaitość dróg,
A potem, — potem skumasz się z nicością,
Bo, widzisz, tak wołi Bóg.
A to bałamucenie naukowe
— Panie Macieju, wciąż dokoła —
Poprawdzie nie jest zbyt zdrowe;
Każdy wie tyle, ile pojąć zdola.
Ten jeno dufność poklaść może w siłę,
Kto umie dobrze wykorzystać chwilę.
A tyś, młodzieńcze, chłop na schwał,
Do przygód zęby ci się szczerzą:
Byleś ty jeno wiarę w siebie miał,
A wszyscy ci uwierzą.
Lecz przedewszystkiem — kaptować kobiety!
Przyczem ta wiedza będzie nie od rzeczy,
Że to ich „ach“ i „och“, „niestety“ —
Jednem lekarstwem skutecznie się leczysz.
Naucz się gędzić mową wdzięczną, ładną,
A już ci one same w potrzask wpadną.
Musisz przekonać je o swej wielkości, —
Zanim się jedna, czy druga ośmieli,
Już tam dotarłeś do sedna miłości,
Bez straty czasu i bez ceregieli.
Tak trzeba umieć drogę sobie skracać:
Gdzie inni lata zabiegają marnie,
Tam twoja ręka zdola puls wymacać,
A potem zwinnie w pasie ją ogarnie,
Do piersi przygnie, przekona się zbliska,
Czy biódr sznurówka zbyt nie uciska...

UCZEŃ: Ze zrozumieniem słowa twoje chłonę!

MEFISTO: Mój przyjacielu, — teoria jest szara,
A drzewo życia wiecznie jest zielone.UCZEŃ: Przysięgam, mistrzu, wielka we mnie wiara,
Że sprostam wiedzy — i bardzo cię proszę,
Pozwól, że tutaj znów się kiedyś zgłoszę.

MEFISTO: Co tylko będę mógł, uczynię chętnie.

UCZEŃ: Jakoś mi odejść stąd byłoby smętnie
Bez upominku tej chwili! — Racz, panie
Do pamiętnika wpisać choćby krótkie zdanie.

MEFISTO: Z radością.

(pisze, oddaje pamiętnik).

UCZEŃ: (czyta) Będziecie, jako Bogowie
Wiedząc dobre i złe.

(wychodzi z oznakami czci).

MEFISTO: Wierz w to przysłowie
I sklaniaj na podszept węża swe ucho,
A już z twem podobieństwem do Boga będzie bardzo krucha

M. MAETERLINCK

O SZCZEROŚCI

Tylko atmosfera absolutnej szczerości może wytworzyć w miłości trwałe i zupełne szczęście. Przed osiągnięciem tej szczerości miłość będzie tylko próbą. Żyje się w oczekiwaniu, a słowa i pocałunki są prowizoryczne. Ale szczerość może powstać jedynie w obcowaniu ze sobą świadomości wysokich i wyćwiczonych. Więcej—aby szczerość stała się naturalną i niezbędną, trzeba, aby były one prawie równe, tej samej rozciągłości gatunku i żeby miłość, łącząca je, była głęboka. Dlatego też życie większości ludzi upływa bez spotkania istoty, przed którą mogliby się szczerze wypowiedzieć. Przybrań szczerzej postawy wobec innych niemożliwym jest dopóki nie potrafimy jej przybrać wobec siebie. Szczerość ta, jest więc tylko świadomością i zdolnością analizy przyczyn wszystkich poruszeń życiowych, stającą się prawie instynktem. Jest to wyraz tej świadomości ukazany oczom istoty, w obcowaniu z którą szukamy szczęścia szczerości. Tak pojęta szczerość nie ma na celu doskonałości moralnej. Prowadzi gdzieindziej—możliwe, że wyżej; w każdym razie do krain bardziej ludzkich i płodnych. Doskonałość charakteru w jej zwykłym rozumieniu jest często tylko bezużyteczną wstrzeźliwością, rodzajem zmartwiałości, ograniczeniem instynktownego życia, które w sumie jest jedynym źródłem wszystkich innych istnień, jakie udaje się nam w sobie wytworzyć. Doskonałość ta dąży do stłumienia zbyt palących pożądań, ambicji, pychy, próżności, egoizmu, chęci użycia—słowem wszystkich ludzkich namiętności t. zn. wszystkiego, co się składa na naszą siłę życiową; stanowi ona istotę naszej energii istnienia, której nic zastąpić nie potrafi.

Gdybyśmy zdławili w sobie wszystkie przejawy życia, aby zastąpić je rozważaniem ich porażek, niedługo nie mielibyśmy już materiału do rozważań.

Nie chodzi więc o wyzbycie się namiętności, wad i braków. Jest to rzeczą niemożliwą, póki się jest człowiekiem w otoczeniu ludzi, skoro już niesłusznie się skreśliło namiętnością, wadą, lub brakiem istotne części ludzkiej natury. Chodzi o poznanie jaknajdokładniejsze tych braków, które są naszym udziałem i umiejętność spojierania na nie z dostatecznej wysokości—bez obawy, że wezmą nad nami górę, lub, wymykając się z pola naszego widzenia, niepostrzeżenie będą szkodzić nam, lub otoczeniu. Z chwilą więc kiedy jesteśmy już w stanie z tej wysokości rozważać poruszenia najniższych, najbardziej egoistycznych instynktów, możemy być spokojni. Oczywiście, z wykluczeniem wypadku świadomego czynienia zła, co jest niemożliwe z chwilą, kiedy umysł nasz poznał moc i jasność, warunkujące tę władzę obserwacji. Skoro więc z tej wysokości ujrzemy nasze instynkty, staną się one nieszkodliwe, jak dzieci pod wzrokiem rodziców. Można je stracić z oczu, zapomnieć na czas jakiś o ich istnieniu, a postępkami ich nie wyjdą poza granice drobnych wykroczeń. Ciążący nad nimi przymus naprawienia wyrządzonego zła, uczyni je z czasem ostrożnymi i stopniowo zatracą siłę szkodenia. Z osiągnięcia dostatecznej szczerości względem

siebie bynajmniej nie wynika konieczność stosowania jej względem pierwszego lepszego. Najszczerzy i najbardziej lojalny z ludzi ma zupełne prawo zatajenia przed innymi większej części tego, co myśli i czuje. Jeśli nie macie pewności, że prawda, którą wypowiedzie, zostanie zrozumianą, przemilczcie ją; innym wydałaby się zupełnie różną od tej, jaką jest dla was, i przybierając wobec nich postać kłamstwa sprawiłaby to samo zło.

Niezależnie od zdania, jakie w tej sprawie wypowiadają moralisci, jeśli tylko mamy do czynienia z różnym od naszego poziomem świadomości każda prawda dla wywarcia skutków takowej wymaga przystosowania. Nawet Chrystus musiał naginać do poziomu słuchaczy prawdy, które im odkrywał. I gdyby się był zwracał do Platona, lub Seneki, a nie do rybaków z Galilei, mielibyśmy dziś do czynienia z zupełnie odmienną postacią jego wypowiedzi. Królestwo szczerości rozpoczyna się wtedy, kiedy owo przystosowywanie się jest rzeczą zbyteczną.

Wchodzi się wtedy do uprzywilejowanej krainy zaufania i miłości. Jest to upajająca plaża, gdzie się ludzie odnajdują w nagości i gdzie się kąpią razem w dobroczynnych promieniach słońca. Do tej godziny człowiek ma się na baczności, jak winowajca. Nie wie, że ma prawo być takim, jakim jest, że zarówno w swoim sercu i w umyśle, jak w ciele nie ma nic, czegoby się potrzebował wstydić. Z uczuciem zbrodniarza, którego uznają za niewinnego, dowiadyuje się, że dziedziny, ukrywanie których uważał za konieczne, są właśnie głębią jego siły życiowej. Nie jest się już samotnym w tajniach świadomości

i najnędniesze szczegóły w nich odnalezione nie napełniają już smutkiem; każą tylko bardziej jeszcze miłować mocne łagodne światło, rozniecone w tej świadomości przez dwie złączone dłonie. Wszystko zło, wszystkie porażki i małości, które się przed sobą w ten sposób odsłania, zmieniają istotę z chwilą z tego odsłonięcia.

I największa wina—według słów heroiny jednego z dramatów—jeśli tylko jest wyznana w szczerym pocałunku staje się prawdą piękniejszą od niewinności. Czy piękniejszą? Tego nie wiem; ale młodszą, żywszą, bardziej czynną i miłą.

W tym stanie rzeczy nie przyjdzie nam do głowy zamiar utajenia ukrytej myśli, ukrytego uczucia dlatego, że jest trywialne i godne pogardy. Nie mogą kazać się nam rumienić za nie, skoro wyznając, wyrzekamy się ich jednocześnie, oddzielamy je od siebie, dajemy świadectwo, że już do nas nie należą, nie stanowią już działu naszego życia—nie wynikają z czynnego, dobrowolnego osobowego elementu naszej mocy.

Rodzają się one w pierwotnej, niekształtnej, podporządkowanej innym władzom części naszej istoty, będącej dla nas widowiskiem ciekawym, widowiskiem, jak wszystkie inne, w których możemy pochwycić grę instynktownych władz natury.

Odruch nienawiści, egoizmu, ograniczonej próżności, zawiści, zbadany w świetle doskonałej szcze-



rości staje się już tylko kwiatem szczególnym i zaciekawiającym. Szczerłość więc, na podobieństwo ognia, oczyszcza wszystko, co tylko ogarnie. Wyjaławia niebezpieczne fermenty. Z największej niesprawiedliwości tworzy przedmiot zainteresowania równie nieszkodliwy, jak ukryta za szybą muzeum śmiertelna trucizna. Przypuśćcie na chwilę, że Shylock jest w stanie uświadomić sobie i wyznać swoje skąpstwo, przestałby być skąpcem, skąpstwo jego przybrałoby inną postać, znikłyby przyczyny, robiące je odpychającym i szkodliwym. Zresztą, poprawienie się z wyznanych błędów nie jest konieczne. Są bowiem błędy warunkujące niejako nasz charakter i istnienie. W znacznej ich części tkwią korzenie nowych zalet. Ale znajomość i wyznanie tych wad i błędów strąca chemicznie truciznę: osadzona na dnie naszego serca jest ona już tylko bezwładną solą, której nieszkodliwe kryształy możemy badać swobodnie.

Oczyszczająca moc wyznania zależy zarówno od wartości duszy, która jeczyni, jak od tej co je przyjmuje. Przy ustalonej równowadze wszystkie wyznania podnoszą poziom szczęścia i miłości. Z chwilą, kiedy są ujawnione, wszystkie dawne i obecne kłamstwa, najważniejsze upadki zmieniają się w nieoczekiwane ozdoby, i, jak piękne posągi w parku, stają się usmiechniętymi świadkami i widomymi dowodami dziennego światła.

Wszyscy pragnęlibyśmy osiągnąć tę błogosławioną szczerłość, ale przesładuje nas zawsze obawa, że kochani przez nas będą kochali nas mniej, kiedy odsłoniemy przed nimi to wszystko, co zaledwie mamy odwagę odsłonić przed sobą. Wydaje się nam, że pewnego rodzaju wyznania raz na zawsze zniekształcą pojęcie, które sobie o nas wytworzyli. Gdyby zaszedł podobny wypadek mielibyśmy dowód, że nie jesteśmy kochani w tej płaszczyźnie, co kochamy sami. Jeśli więc odbierający wyznanie nie jest w stanie pokochać nas za nie jeszcze mocniej, będzie to dowodem, że w miłości naszej tkwi nieporozumienie. Rumienić się powinien nie czyniący wyznania, lecz ten, co nie dorósł jeszcze do zrozumienia, że wyznając błąd—stajemy jednocześnie ponad nim. To już nie my, to ktoś obcy znajduje się na miejscu, na którym błąd został popełniony. Zło jest już usunięte z naszej istoty:



to też nie plami już nas, tylko tego, który się waha sam to przyznać. Błąd ten nic już nie ma wspólnego z naszym rzeczywistym życiem. Jesteśmy tylko jego przypadkowym świadkiem i nie możemy być za niego odpowiedzialni bardziej, niż żyzna ziemia za zielska, które na niej wyrosły, lub lustro za brzydotę przedmiotu, który znalazł w niem swoje odbicie.

Nie miejmy też obawy, aby ta absolutna szczerłość, to podwójne, przezroczyste życie dwóch kochających się istot stało się powodem zniknięcia perspektywy cienia i tajemniczości, która znajduje się w głębi każdego trwałego uczucia. Nie bójmy się też wyczerpania tego nieznanego jeziora, które w dziejach każdej miłości zasila dążenie do wzajemnego poznania, będącego tylko najgorętszą formą kochania się jeszcze mocniej. Nie; perspektywa ta jest tylko rodzajem ruchomego, prowizorycznego płótna, które wystarcza, aby dać przeciętnej miłości złudzenie nieskończonej przestrzeni. Usuńcie je, w głębi ukaże się wreszcie prawdziwy widnokrąg z prawdziwym morzem i niebem. Co się zaś tyczy wielkiego nieznanego jeziora, przekonamy się niebawem, żeśmy wydobyli z niego zaledwie parę kropel mętnej wody. Otwiera ono miłości swe zbawienne źródła tylko w chwili szczerości; prawda bowiem dwóch istot jest bez porównania bardziej płodną, głębszą i niewyczerpaną, niż ich pozory przemilczenia i nieprawdy.

Nie bójmy się wreszcie wyczerpania naszej szczerości i nie wyobrażajmy sobie, abyśmy byli w stanie osiągnąć jej ostatnich granic. Nawet wtedy, kiedy przypuszczamy, że jest absolutną i chcielibyśmy, aby taką była—pozostaje tylko względną. Bo może się ona objawiać tylko w zamkniętych granicach naszej świadomości, a te ostatnie przesuwają się codzień. Tak więc czyn w którym, myśl przedstawia się nam w barwach nieznanym, w chwili uczynienia wyznania, może mieć doniosłość zupełnie inną od tej, jaką mu dzisiaj przypisujemy.

Podobnie jak czyn, myśl, lub uczucie, którego nie wyznajemy, gdyż nie wiemy jeszcze o jego istnieniu w dniu następnym, może się stać przedmiotem wyznania ważniejszego i pilniejszego od wszystkich, uczynionych dotychczas.

Tłum. Wanda Borucka.

HELENA CEYSINGERÓWNA

MYŚL O TEM CO CHCESZ

(nowela)



Każde z nich żyło więc własnym odrębnym życiem i miało własne w niem cele. Dodać muszę, że babunia utrzymywała żywy kontakt ze wszystkimi okolicznymi wsiami i zaściankami. Leczyła, radziła, godziła spory, kojarzyła małżeństwa, przygarniała sieroty, kierowała młodzież do szkół.

Zresztą Bóg wie, jakie jeszcze tajemnicze prowadziła z nimi sprawy. Chłopi i szlachta przyjeżdżali nie-

kiedy zdaleka, na całodzienne nieraz konferencje z „panią starszą“. A zawsze odjeżdżali zadowoleni i chwalcący sobie jej „wyroki“.

—„A nic pani nie mówi o dzieciach?..“—zagadnęłam, gdy panna Klementyna zamilkła na chwilę i mądrymi, szaremi oczami zdawała się wpatrywać w przeszłość.

—„Ach, moja droga, cóż ja miałam z początku kłopotu z temi dziećmi! To, doprawdy, cała historia! Chowane były zupełnie dziko. Wstawały, Bóg wie

o której, prawdopodobnie przed świtem i to zimą, czy latem zarówno, i biegły zaraz do parku. Miały tam swoje krwioćki, zarośla, nie trzebione od dziesiętków lat. I co one tam robiły, nikt nie wiedział i nikt nie troszczył się o to. Około 8-mej zjawiały się na śniadanie zhasane, mokre od rosy, lub szronu, ciche, nieme i nie raczące prawie nic widzieć dokoła, tak zatopione w jakichś swoich myślach i marzeniach! A zdolności miały ogromne! Dziewczynka zwłaszcza uczyła się z nadzwyczajną łatwością. Chłopca umysł mniej świetny był, ale głębszy. Ja miałam za zadanie przygotować je do gimnazjum i to była praca bardzo łatwa. Ale wychowanie? Przecież miałam być wychowawczynią tych wilczą! Tak było ułożone w umowie.

Co miałam robić? Czy wstawać również o świecie i towarzyszyć im w zarośla parkowe?

W parę dni po przybyciu zapytałam o to panią Marję. Złizwiła się.

— Po cóż?! To niepotrzebne. Pani nieprzyzwyczajona do ранnego wstawania.

— Ale, przecież ja nie wiem, co one wtedy robią, czem się zajmują. Sądziłam, że to należy do obowiązków wychowawczyń...

Pani Maria uśmiechnęła się takim, swoistym cieniem uśmiechu.

— Droga panno Twno, (tak mnie tam nazywano) wychowywanie nie polega przecież na ciągłym sterzeniu nad dziećmi i tresowaniu ich. Pozwólmy małym ludziom być sobą. Tu, w tej książce znajdzie pani dużo interesujących uwag o wychowaniu — i podała mi jakieś nowe pedagogiczne dzieło francuskie.

Czytałam więc, a „mali ludzie“ po skończeniu lekcji i po obiedzie znikali znów na pół dnia. Biegli do dzieci na wieś, do psów, do koni, na pola i lasy, — zresztą, czy ja wiem, dokąd. Najczęściej babunia dawała im polecenia: staremu Łukjanowi — lekarstwu, Zosi Ostapowiczównie z Łukiszek — obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, bo to jej urodziny. a niech tam dziewczyna nabiera kopciucha i nasuszki, bo to dzieło teraz kwitnie, Józefowi Pocięce z Połonki — Okowy Św. Piotra, przywiezione z Krakowa, i f. p. W tym rodzaju bywały „interesy“ babuni. W promieniu kilku mil znała wszystkie imiona i nazwiska, pamiętała wszystkie twarze. Tylko do najbliższego zaścianka, do Chodzievicz, nie miała nigdy żadnego interesu.

Później, gdy zżyłam się już z dziećmi, zabierały one i mnie na te swoje wycieczki.

Wszyscy żyli tu wiele z przyrodą i kochali samotność.

Pani Marja błądziła czasem całymi dniami po lasach, po wzgórzach nad Szczarą, tak porosłych kaliną, jarzębiną i dzikimi różami, że wydawały się ku jesieni niby koralowe, wymarzone wyspy dalekie. I kwiatów było w tem Zalesiu przeróżnych, a wonnych... i słowików na wiosnę... i jaskółek gnieźdzących się u okien... a szczęścia nie było! Nad wszystkim unosił się smutek żalony, głuchy, ciężki. Nawet służba dawna, pamiętająca „lepsze czasy“ posępna była i milcząca...

Babunia wtajemniczyła mnie niebawem w sekrety rodzinne.

Od niej dowiedziałam się, że pani Marja była niegdyś zaręczona starszemu Wazgirdowi, bohater-skemu dowódcy oddziałów powstańczych w r. 1863-im. Pojmany, ranny, z wyroku Murawjewa stracony został na szubienicy. Od tego czasu Marja nie śmieje się nigdy i nie zdejmuje żaloby, a za Tomka wyszła, bo taka była podobno między nimi trojgiem umowa, żeby po upadku sprawy, ci, co ocaleją, założyli rodzinę, ziemię zachowali i dalszym pokoleniom przekazali miłość i zemstę.

To wszystko onieśmiało mnie jeszcze bardziej w stosunku do pani Marii. Jak tu mówić o codziennych sprawach z człowiekiem, co ma wciąż w pamięci te straszne obrazy i duszę ma nastroszoną na taki wysoki ton!

Byłam młoda, wesła. Denerwowało mnie to wszystko. I dom sam, staroświecki, o łamanym dachu, o wielkich pokojach, wykładanych modrzewiową podłogą, dom, po którym nocami słychać było jakieś stapania, szepty, westchnienia... i te dzieci, nieuchwytne, zamknięte w sobie, najchętniej przestające z chłopami, dzikie i zabobonne, jak lud tamtejszy!...

Pewnego razu np., gdy szłam z niemi drogą, wysadzaną starymi topolami, nagle od pnia jednej z nich oderwał się jakby, bo go przedtem znać nie było, stary, pochylony człowiek, ubrany ze szlachacka i począł powoli iść ku nam.

Jak dwie spłoszone przepiórki, pierzchnęły nagle dzieci i wpadłszy w łan żyta, gnały na oślep, aż gdzieś w bródzie przypadły, że ich całkiem widać nie było. Złękałam się, nie rozumiejąc, w czym tkwi niebezpieczeństwo, ale uciekać nie było już czasu, zresztą nie chciałam.

Stary przeszedł obok mnie, nie pozdrowił, lecz obrzuciwszy ponurem spojrzeniem, skręcił na pełną dróżkę w kierunku Chodzievicz.

Wyznaje, że wicnęło na mnie od tego człowieka jakimś niezrozumiałym przerażeniem.

Drżąca szłam dalej!

Z żyta wysunęła się po chwili główka Władzia. Kiwał na mnie palcem, zachęcając, bym podzieliła jego schronienie.

— Wyjdźcie dzieci! — zawołałam — cóż to znaczy? Dlaczego się go boicie? Zresztą, on już poszedł.

— Niech pani skręci na miedzę, wrócimy lasem — rzekł z cicha Władzio i utonął w zbożu.

Poszłam tedy miedzą do lasu i tam spotkałam moich dzikusów.

— Nie dobrze wracać po jego śladach — bardzo poważnie mówił chłopiec — przez las dalej, ale bezpiecznie. To jest szpiegl!..

— Wytłómaczcież mi, co to znaczy — pytałam ubawiona, przypuszczając, że to wyobrażenia dzieci z posępnego starca wyczyniającego wodza czerwonoskórych, szpiegującego siedziby „błędnych twarzy.“

Spostrzegłam jednak, że Zosia jest naprawdę przestraszona. Twarzyczkę miała zbiełałą, i tuląc się do mnie, mówiła cicho.

(c. d. n.)



MAGDALENA SAMOZWANIEC

2

MARGARBINA DE BOIS DE BOULOGNE

(Grotteska w 3-ach aktach).

DZIECI. (równocześnie): Mamusiu, mamusiu, ona nas nie chce do domu odprowadzić! Mnie brzuszek zziabł! Ja chcę ka-kaol! Mamusiu ten brzydki pan mnie uderzył!

ADZIK. (rozgniewany): Nieprawda smarkaczul! Sam nie wierzysz w to co mówił!

SMARKACZ. Ale tak, tak, właśnie uderzył mnie pan!

ADZIK. (zmieszany): Musiało to być, skoro tak mówisz — ale nie mogę sobie przypomnieć... ciekawe.

FRANCUZKA. Silence les enfants! Sacrées gosses! Ja nie mogła znaleźć ulicę, ja szukała, pytała się...

DZIECI. Mamusiu, ona szła ciągle z nami daleko za jakimś panem, a pan zaraz prędko znikł i myśmy tu zostali!

PAN WĄDOLSKI. (ruszając wąsami). Ot lafirynda, powiem. Dostyć będzie dla nas tej nauczki. Gdzie panna ma głowę? (stuka łaską o ziemię) Ja się pytam, gdzie? Kapelusz to widzę, ale głowy, panie tego... (miota się).

ADZIK. (oburzony): Pan jest chyba ślepy! Taka śliczna główka! A gdzie pan ma serce, panie! Co za brak poszanowania dla kobiety, wyrozumiałości dla osoby z arystokracją!

PAN W. (zglupiał całkiem): Co? Z czego znowu?

ADZIK. Dla osoby z takiej rodziny, zmuszonej do pracy, której się Pan jeszcze miesiąc temu do stóp kłaniał!

PAN W. (j. w.) Co panu, panie kochany? Pana karmią widać fłaszczką panie drogi! Pan... przepraszam pijany... co?

PANI W. Do czego się Pan mięzał! Co ona Panu nakłamała? Macie, adwokat!

ADZIK. (z pogardą). Śmieszni państwo jesteście. Dlaczego miała- by kłamać? — POCO?

PAN W. Zna ją pan?

ADZIK. Już poznałem. Prawda jej patrzy z oczu.

PANI W. A ja sobie wyprosiłam raz na zawsze znajomości z mężczyznami, moja ma demoiselle! To trudno — albo, albo. Albo się jest boną, albo się jest kobietą! Nie można mieć wszystkiego! — Wzięłam toto bez świadectw, bez rzeczy, w tej jednej sukni — i teraz ładna wdzięczność! No, pogadamy o tem w domu. Teraz marsz.

FRANCUZKA. (wyciągając ręce do Adzika). Sauver moi! Jestem sama na świecie! Oni mnie zabijają! Oh!

ADZIK. (staje między nią a państwem W.). O nie, moi państwo. Ja nie dam skrzywdzić tej pani Margrabiny (Państwo W. (równocześnie) Margrabinal w Imię Ojca i Syna! pójdzie ze mną. Ja się nią zaopiekuję.

PANI W. Pan potrzebuje bony?

ADZIK. Tak. Będzie mnie uczyć po francusku.

PANI W. Po francusku ale czego? O proszę pana, młoda francuzka to nie jest odpowiednie towarzystwo dla mężczyzny! Ostrzegam pana! (sapie z oburzenia).

ADZIK. Moja żona się nią zaopiekuje.

PAN W. A wiesz. Szczególniej żona pana to się ucieszy. Ale ona tam, powiem, do niejednego już pewnie przyzwyczajała. Bierz pan to półdjabłę weneckie, tylko do nas proszę nie mieć żadnych pretensyj. Dwóch warjatów się dostało, powiem.

FRANCUZKA. (zwraca się nagle do Pana W.). Tak, tak, teraz to tak, a kto mnie wczoraj pocałował i nazywał „petit chou”? Kto?

PAN W. (prędko machając ręką). E. wiesz co, Adelsiu, chodźmy, chodźmy, nie ma tu co robić, czas się tylko traci.

PANI W. (groźnie i wesolo). Cóż ci się tak śpieszy? Wiesz, że jabym właśnie teraz została. Czego to się człowiek nie dowiaduje przy sposobności. No, no bardzo ciekawe, owszem.

PAN W. (trzęsąc się z gniewu). Żebym już pani na oczy nie widział! Kłamie jak z nut!

ADZIK. (pocziwie). Proszę Pana, coś tam musiało być, skoro ona tak mówi!

Pan. (w pasji). Nie, to za wiele! Chodźmy stąd, bo zrobię coś strasznego — (wrywa jednemu dziecku balonik i puszcza w powietrze, balon ucieka).

DZIECI. Balon! Nasz balon! Brzydki tato!

PANI W. Cicho dzieci, ojciec się gniewa, dostaniecie jutro ładniejszy. Chodźmy.

PAN W. mówiłem, że zrobię coś strasznego. To trudno, człowiek w pasji nie wie co robi. (mówiąc to odchodzi razem z całą rodziną).

PANI W. (jeszcze się odwraca). Adieu, margrabino!

PAN W. (mruczy) Margra... margra... bona, psiakrew! (odchodzi).

FRANCUZKA. Ach, merci, merci!

ADZIK. Zaraz. Niech ja się zastanowię. Przecież nie mogłem postąpić inaczej. Pozwolić, by się znęcano nad kobietą. (pausa—Fr. przegląda się w lusterku, poprawia kapelusz)

FRANCUZKA. Oh, jaka ja była bogata? Ja miała sto kapeluszy. A teraz co? To jest kapelusz? (wskazuje na swój kapelusz) Kobieta bez kapelusza to pira, niż bez dachu nad głową. — Ja w tym tak długo chodziła, aż go całkiem rozdeptała — Mnie jutro przysłał argent. Ja mam srebro w banku. Pan mnie pożycz 50 złotych na kapelusz. Tam jest magasin de modes. Ja odda jutro, pojutrze, mniejsza o to, niema o czem mówić. Ja się muszę przyzwocić przedstawić dla pańskiej żony.

ADZIK. (pocziwy z kośćcami). Chętnie, naturalnie, właśnie żona mi dała 50 złotych, bym jej co kupił na imieniny. Ale imieniny są co roku, a okazja dobrego uczynku nie trafia się codziennie. Żona powinna się ucieszyć. — To trudno. — Nie mogę pani zostawić tak, bez kapelusza nad głową — chciałem powiedzieć — bez kapelusza.

FRANCUZKA. A jeśli będzie kosztował 55 złotych?

ADZIK. Mam jeszcze moich 5, ale nie mogę dać, bo ja pięć złotych zbieram. Mam już całą kolekcję. Dawniej zbierałem motyle. Teraz to jedyna moja pasja. Tak samo uciesza jak motyle, a większa z nich pociecha.

FRANCUZKA. (niecierpliwie). Eh bien? Gdzie te 50? Bo zamkną sklepy —

ADZIK. (wyciąga z portfela pieniądze). Proszę, bardzo proszę — FRANCUZKA. To ja zaraz wrócę. Merci. Pan tu poczeka.

ADZIK. Ach nie ma za co. To ja Pani dziękuję. Więc niema za co. Rzeczywiście, lepiej, że ja tu poczekam. (Ślady na ławce, skręca sobie papierosa, nagle widzi znajomą, więc chowa brodę w kołnierz, i udaje, że go niema — niestety w chwili, gdy znajoma już go mija, wygląda ze swego ukrycia i zostaje poznany. Pani Genowefczak — Kilińska wraca się i rzuca na niego).

PANI G. K. (gorączkowo). A, pan Adzik, niech mnie Pan nie zatrzymuje, co pan tu robi, ja nie mam czasu, jak się ma Zosia, bardzo dobrze, dziękuję, Jezus Marja, zgubiłam guziczki, gdzie moje guziczki, pan nie ma moich guziczków, o, są, dobrze, że pana spotykam, czy pan widział mego męża, to nie, ja go widziałam, czy pan na kogo czeka?

ADZIK. (przerazony), ale nie, tylko... (s. d. n.)

MARJA KUNCEWICZOWA

JEDNO SPOJRZENIE

(Szkic powieściowy)

Wreszcie rzuciłam Warszawę, miasto gorzkie, oleiste, jak Vermouth. Pojechałam do wuja. Tam światło i liście powiedziały otwarcie, na co pieściły mnie dwa lata temu: żeby napęczniało serce, żebym pokochała i odcierpiała Zbyszka. Teraz wróciłam do Sitańca właśnie zapominać, czego uczyły te moce zielone i rude. Zaraz pierwszego dnia odczułam bezsens przedsięwzięcia; bo w parku trzeba żyć żarłocznie, jak wróble, albo uschnąć, jak zarażona kalina. (Do zimy było daleko). Zatem, nie mogąc zerować i ćwierkać, musiałam schnąć z bezsenności. Tak oto, zamiast niepamięci, ogarnął mnie gorący koszmar tęsknoty.

Chodziliśmy z wujem w pole. Poczciwiec zerkał niepewnie na cierpiętliwe oblicze i widać było, że wśród gadaniny sumuje: Czego u djaska pannica humory odprawia? Jeszcze gdzie chlipnie w głos i co będziesz, chłopie, robił z temi mokremi ślipiami? Więc huczał nieustannie i wdzięczność mi chował za każdy dzień, że minął bez sceny. Za to gospodyni, ze współczuciem zawieszonym, rzekłabyś firanka, na oczach żółtych z ciekawości, odprowadzała mnie co wieczór na górę, wężąc do ostatniej minuty.

Na szczęście nie popełniłam żadnego brzydactwa: nasza miłość zesłała do grobu, uczczona jak księżniczka.

We wrześniu zasmucał mnie jeszcze każdy słonecznik, którego nie mógł widzieć Zbyszek, (a wszystkie patrzyły za nim, choć odszedł tak daleko); jednak rozpoznałam znowu smak potraw i kolory ludzkich spojrzeń. Świat bladej, sówiooki, przemądrzały i kapryśny wstawał przed memi stopami.

Któregoś popołudnia waliza, pełna sukien, jarzębin, książek i kochanych listów, za nic nie chciała się domknąć, więc gniotłam kolanem wieko, układając w myśli komplement pożegnalny dla wuja. Weszła Hanka z depeszą. Powolutku rozciąłam: Krystyna umarła.

Kiedy wróciłam do Warszawy (pół roku wędrowały po świecie listy i jarzębiny), Henryk był od miesiąca żonaty z Sonią.

W Warszawie zastałam moc do czynienia: niezawodne cyamidy i cyklany czekały na syntezę, trzeba było pójść w tysiączne miejsca nawiązać nici, które zerwała nieopatrna ręka. Trzeba było odnaleźć własne ślady na chodnikach, na schodach i na trawie, zetrzeć kurz ze sprzętów, odgrzebać, odchuchać, odgrzać sobie gniazdo. Robiłam to wszystko.

Krystyna została umieszczona obok Ellen w teatrze dziwniejszym, niż wszelkie zmyślenie i tak pięknym, że zgoła niepojętym. Myśląc o niej, chwytam

łam łapczywie woń krakowskich chryzantem — zapach nagiej, jak śmierć, młodości.

Wśród znajomych mówiono bez końca o powtórnym małżeństwie Henryka.

Krystyna umarła na zapalenie płuc — jednak Henryk nieuniknął piętna mordercy. Nieszczęście Krysi przesączało się za ściany domu, nakształt dymu lotre i gryzące.

Teraz na sprzętach, które zachowały wyraźny odcisk jej palców, opierała ręce Sonia. W kredensie stały jeszcze naczynia tak, jak je ustawiła matka Jagusi, w szafach pełno wisiało sukien umarłej. Ale córeczka była już na drugim krańcu Warszawy u swojej babci, choć w kącie, gdzie niedawno stało łóżeczko, gąski kroczyły po dawnemu. Więc ludzie złorzeczyli.

Sprawy te, zgoła pozbawione kuchennego śwędu, ciążyły prosto w twarz, jak goła szpada. Mijając Koszykową, przyśpieszałam kroku. Mimowoli nozdrza szukały jodoformu, która to woń od czasu — kiedyś, kiedyś — operacji hraciszka znaćczyła klęskę bez nadziei. Krystyna nieobecna stowarzyszyła się ze mną mocniej, niż za życia.

Znowu pracowałam w laboratorium, chodziłam do teatru, biegły dni zwyczajne, jak podwórzone zwierzęta.

Jednak żyłam inaczej.

Wszystko minione, rozsiane po drogach, póty wirowało i szukało siebie wzajem w przestrzeni, aż urosło w jedną kolorową bryłę, i ta bryła wtoczyła się z powrotem do piersi. Właściwie myślałam już tylko po to, żeby myślała, ni to włochatą ściereczką, zbierać w garść kurze zetlałych wrażeń. I czu-

łam, że w moim sercu ciągle szaleje Zbyszek, że mu tam jeszcze raz za ciasno, jak było nam obojgu za ciasno w Warszawie. Czułam także w sobie kroki Henryka, szmer zwiędłych uśmiechów Ellen — aktorki, a nadewszystko dreptanie żalodne Krystyny. Nie ustawała w jakichś niezrozumiałych zabiegach, dusiła mnie krwią, biła pulsem, łaskotała włosami. Gdziekolwiek poszłam, Krystyna uparcie szemrała swoje napomnienie. Wreszcie, po długich tygodniach, skreśliłam w Koszykową.

Pod 20-ym przemalowali balkony. W bramie widniał jeszcze strzęp ostatni klepsydry, niby czarno-biały jęczyzek. Kartka nad dzwoniem ta sama: Henrykowie T. Szłam po schodach, ściskając wargi, żeby serce nie uciekło mi z gardła. Zadzwoiłam.

Jak dawniej, zachrobotało, ożyło coś w głębi mieszkania, skrzypnęła posadzka, brzęknął łańcuch. I otworzyła ta sama służąca. (Policzki miałam zimne). Dziewczyna zaćwierkała radośnie, ściągnęła ze mnie palto i już trzymała za klamkę od salonu.

— Tyle czasu... wielkie zmiany. Jagusińska ślic nie wygląda... u babci... Państwo są. A jakże.

Telefon wrzasnął. Zosia rzuciła „przepraszam” i pobiegła odebrać.



Weszłam. Kamelia Krystyny kwitła w oknie, ona sama w czepeczku, uśmiechem zorzy patrzyła z portretu.

Meble nieruszone, błyszczą mahonie, jak czerwone kałuże; sklejona figurka po dawnemu na fortepianie. Siadłam, czekając, co wejdzie: człowiek, czy wspomnienie... Tymczasem pokój, zmacony przez moje wtargnięcie, zastygał i cisza znowu wszczywała bezradosny płas. Jakies sine apatyczne fale spływały z okien na posadzkę.

Nikt nie przychodził; słycać było przez chwilę, jak Zosia jazgotce przez telefon, potem trzasnęły drzwi (od korytarza — pomysłalam), i już tylko za portjera szeleściła czyjaś obecność.

Kilka razy w gazomierzu z trzaskiem przeskoczyła wskazówka (kiedys Krystyna przestraszyła się tego głosu...). Powoli odchodziła mnie pamięć wydarzeń, wsiąkałam w ten dom z łatwością i bez urazy. Zatesniłam do Henia; płacz malutki bezradny zakiełkował nagle w sercu; chciało mi się trzymać kuzyna za rękę i gawędzić o koncertach, o kochanych bzdurowach, niezrozumiałych dla obcego.

Wstałam z fotela i poszłam do sypialni. W progu wisiała portjera. Unosząc ciężkie fałdy, zajrzałam do wnętrza. Szaro — widocznie spuszczone sztorv. Obok konsoli czeczotowa kanapka z oparciem w kształcie liry — pretensjonalny mebelek, tak samo wdzięczny, jak uśmiech Zofji Potockiej.

O brązowe pręciki tej liry często zaczepiały się włosy Krysine, kiedy — płacząc — opuszczała głowę.

Teraz... o Boże — teraz... na wygiętem skrzydle liry także opierała się głowa, opłynięta złotem. A na ustach drugiej żony były usta Henryka. Oderwał je po chwili; — zobaczyłam, że są tak bolesne, jakby już nic dać ze siebie nie mogły — tylko krew, albo pożegnanie.

Z wyciągniętą ręką cofałam się przez salon. Cicho warknął zatrząsk — pies domowy.

Zeszłam ze schodów.

Przez czas długi rzeczywistość była dla mnie domem nawiedzonym. Biorąc do ręki książkę, patrzyłam niepewna, czy się nie rozplynie, jak galareta i — gdyby ludzie zaczęli wrastać w ziemię, a domy fruwać po gołębiemu — żyłabym nadal za pan brat z człowiekiem — skałą i z latającym pałacem.

W tym okresie widziałam raz zdaleka Zbyszka. Przeszedł koło mnie, niby cień za szybą, nierealny już, chociaż kochany. Natomiast Henryk, którego rysy, ściągnięte przez spazm, ledwie błysnęły na tle z adamaszku, codzień nabierał krwi, bratał się ze mną na nowo. Ilekroć wszczywnano rozmowę o nim — zawsze wrogą, często obrzydliwą — wysyłałam na Koszykową uśmiech z pod serca, gońca dobrej myśli. Sama nie wiem, skąd się brało współzucie, czemu mniej teraz płakałam nad Krysią, więcej nad jej

mężem... Przypominając stłuczoną porcelankę na fortepianie Heniów, kamelję całą w kwiecie i to, co zobaczyłam za portjera, szeptałam nieraz: „Czemu takie straszne rzeczy musi ten człowiek? Dlaczego nie spocznie?“ — Podobno chorował na serce. Kiedy mi to powiedziano, uczułam wdzięczność. Może już wkrótce skończy się krwawy taniec kuzyna? Może wolno mu będzie zamieszkać w kraju, gdzie szaleństwo nie zamienia serc w bandyckie noże...

Świadomość, że Krystyna słyca moich myśli i gładzi je siostrzaną dłonią — to była wielka słodycz. W święta godzinami odbudowywaliśmy z Adamem życie Krysie, podobnie, jak dzieci bawią się klockami.

Rozmowa taka trafiła się raz na wycieczce za miastem Wróciwszy do domu zmęczona, wczesnie usnęłam. I już w chwili zasypiania wiedziałam, że spotkamnie rzecz osobliwa, bo czucia, drętwiejąc, wydawały ton obcy, nigdy nie słyszany. Ze strachem wszłam w noc, która trwała pod powiekami. Miętko, ślisło, jak liście nenufaru, rozstępowała się czarność; zewsząd zetlały aksamit płatami opadała na jakies bezkształtne dno. Cisza huczała setką fal mechatych, a goracych; wzdłuż ściany leja toczyłam się w oślebinę. Po drodze żarłoczne macki askotały ciało czyjeś pletwy były odmet gniewnie raz po raz. Wreszcie z mułu wyjrzały oczy. Zielone, ogromne i srogie. Zdrętwiałam. To były oczy Krystyny, utopione w maleńkiej twarzyczce.

— Ziębłas, Jadwisiu. Chodź ułożyć owoce.. przyleciały wtedy słowa z tarasu.

Pofolgował sen, siłą rozdarłam powieki i do rana leżałam opleciona w mroźne węże, niby w wodorosty. A noc aż do świtu jaśniała spojrzeniem Henryka, jak Sitaniec jaśniał kiedyś pogodą po burzy.

Rano z nieśmiałością przeszłam koło fotografii Krystyny; i nigdy już nie złożyłam myśli w jej siostrzane dłonie.

Pod koniec kwietnia w Ogrodzie Botanicznym siadła koło mnie na ławce uperfumowana pani. Spokoinie czytałam skrypta, pani trąciła łokciem kajet. Podniósłszy wzrok, poznałam Sonię. Mój widok nie zmieszał jej bynajmniej — zagadała po swojemu: leniwie i wilgotno. Po chwili leżały już przed nami odkryte rzeczy najbardziej nagie.

Jasnowłosa palcem pokazywała je po kolei, aż rzekła, śliniąc usta i wyginając rzesy: „To dziwne. Śpię na łóżku tej Krystyny i nigdy mi się nawet nie przyśniła. Widać nie ma pretensji, biedaczka“...

To wszystko było dawno. Dziś jestem siwa, Henryk jeszcze żyje z Sonią, a Krystyna nauczyła się przez te lata przebaczać nietylko uściski, ale i spojrzenia. Niedługo oszalejemy już wszystko troje w boskiem porozumieniu: Henryk, ja i Krystyna. Soni z nami nie będzie, i Zbigniewa nie będzie.

(Koniec)



Z. ZAWISZANKA

CÓRKA BOGA

4

„Misterja“, czyli sceny z historii świętej, odgrywane publicznie przez kler i laików pospołu, z inicjatywy bractw pobożnych — to pierwociny dramatu, nawskroś ludowe. Budowano na ten cel amfiteatralne widownie na kilkadziesiąt tysięcy widzów; w godzinach przedstawień cała literalnie ludność opuszczała domy, tak, że władze miejskie musiały ustanawiać na ten czas specjalne straże dla zabezpieczenia ich od rzezimieszków.

Serdeczny udział całego społeczeństwa w tych widowiskach, zapal ogólny, jaki one wzbudzały, możnaby jedynie porównać do popularności starożytnych Igrzysk Olimpijskich

Lecz na tem nie koniec jeszcze — bo obcowanie ze sztuką wchodziło wówczas głęboko, a niedostrzegalnie w powszedni dzień pracy, czy walki.

Wszystkie niemal przedmioty codziennego użytku miały niewymuszone piękno celowości; rzemieślnicy byli zarazem artystami i cech każdy uważał by sobie za ujmę wypuszczanie w świat rzeczy brzydkich.

Pod innymi względami bardzo pierwotne i naiwne społeczeństwo średniowieczne przewyższało nas znacznie swoim żywiołowym zmysłem sztuki i zainteresowaniem gorącym dla wielkiej sprawy religii.

* *

Francja i Anglja, przedzielone tylko wąskim paskiem oceanu, już od samego świtu dziejów powiązane były splotem stosunków różnorodnych. Ich podłoże etniczne nawet jest pokrewne, celtyckie — ekspansja Rzymu sięga również na wyspy — późniejszy napływ plemion germańskich wywarł tam jednak piętno silniejsze.

We wczesnem Średniowieczu nawiedziła znów oba brzegi wspólna niemal katastrofa: najazd Normanów, Francja jednak doznała go znacznie wcześniej i zdołała już wszczepić swą młodą kulturę wojowniczemu szczepowi skandynawskiemu — tak, że Wilhelm Zdobywca, idąc na Anglję w XI w., zaniósł tam obyczaj francuski i język, który w prastarych, tradycyjnych obrzędach W. Brytanji przechował się gdzieś do dziś.

Od tej chwili oba kraje łączy węzeł feudalny, najistotniejszy w ustroju ówczesnym, gdyż król angielski, jako książę Normandji zarazem, staje się lennikiem korony francuskiej. Posiada on po drugiej stronie kanału także kilka innych księstw, razem około 1/3 francuskiego terytorjum. Choć później tron Anglji przechodzi do rodziny Plantagenetów, jednak stosunek ów trwa przez 2 wieki. Taki stan rzeczy musiał nieść w sobie zaród niebezpiecznych powikłań na przyszłość...

We Francji po Karolingach panowała długo dzielna dynastia Kapetów — jej wygaśnięcie stało się właśnie bezpośrednim powodem straszliwego starcia. Edward III bowiem, panujący wtedy w Anglji, jako spokrewniony przez matkę z Kapetami, wniósł pretensję do tronu, który już objęła, wedle praw krajowych, inna boczna linja Walezjuszków (Valois).

Przyczyny wojny tej, ciągnącej się od 1337 r. przez lat sto, nie były wszakże tylko dynastyczne — musiały leżeć głębiej, może w podświadomej jakiejś żądzy odwetu za podbój normandzki i długą suwerenną przewagę?... Parlament angielski bowiem po-

parł gorąco zamiary króla, uchwalając chętnie duże podatki na wyprawę wojenną; kraj cały zbroił się dobrowolnie i z zapalem.

Francuzi, gotując się na odparcie najazdu, nie zdawali sobie sprawy z rozmiarów niebezpieczeństwa. Jak oni sami, tak i cała Europa, pod urokiem ich świetności, męstwa i bogactwa, przekonana była o znacznej niższości Anglji; nikt nie wątpił, że zuchwały wasal otrzyma należytą karę.

Pierwsza bitwa w 1346 r. pod Crécy przynosi okropną niespodziankę: wojsko francuskie zostaje nie tylko pokonane, lecz wprost wyrżnięte. Pada 30,000 ludzi, w tem 11-u książąt i 80-u możnych wasali. W rok później zdobywają Anglicy ważny port Calais, klucz od Francji od strony morza.

W 1350 r., w drugiej walnej rozprawie pod Poitiers, ponawia się druzgocąca klęska, pomimo przewagi liczebnej Francuzów — sam król, Jan Valois, dostaje się do niewoli!

W obu tych bitwach występuje po stronie francuskiej kwiat rycerstwa średniowiecznego. Zakute od stóp do głów w ciężkie blachy zbroic walczyło ono przeważnie z konia, mieczem, lub kopją — rozstrzygając boje olbrzymią siłą ramion, lecz także siłą bezwładności, rozmachem i osobistem męstwem. Na kogo się zwałił taki żelazny jeździec, ten był zgubiony; lecz biada jemu samemu, jeśli raz padł — bo się już podnieść nie zdołał.

Wyłączne panowanie białej broni wytwarzało taktykę ogromnie prostą, zmuszając do skupiania bitwy na małej przestrzeni, doprowadzając z natury rzeczy do starcia pierś o pierś — przyczem przeważały harce par rycerskich, jakby szereg pojedynków. Krzyżowcy nie wyobrażali sobie innego sposobu wojowania, a jednak już w XIV w. zaczyna się on powoli przekształcać.

Pogardzana dotąd piechota odgrywa coraz większą rolę, rynnstunek staje się lżejszym, broń działa już na pewną odległość (łuki) dosyć sprawnie — choć broń palna wejść ma w skuteczne użycie dopiero później nieco.

Wynalazek prochu, zastosowany bardzo szybko i coraz doskonalej do celów militarnych, rozszerzył już znacznie pole walk, a z niem i perspektywy taktyki i strategji, komplikując ich zagadnienia. Pierwsze działa, były to olbrzymie moździerze, ciskające na tysiąc kroków kule 50° 70° i 130° funtowe z ołowiu, żelaza i kamieni. Wkrótce nauczono się konstruować armaty nieco lżejsze, a odporniejsze, zwane „kolubrynami“, lub „bombardami“ — a jeszcze później „rusznice“, dość duże jeszcze i niezgrabne maszyny ręczne, protoplastów strzelby i karabinu.

Wiek XV czynił pierwsze wyraźne kroki na tej drodze, która nas zaprowadziła do tak olbrzymiego rozwoju techniki wojennej. Lecz już od początku XIV wieku rozpoczął się w tej dziedzinie ruch i postęp, którego pionierką była Anglja. Pod Crécy i Poitiers, (gdzie artylerja więcej jeszcze robiła huk, niż szkody), kusze ¹⁾ i lekkie łuki spełniły wybornie swe zadanie przeciw pancernej jeździe — a duże sztylety, podobne do dzisiejszych bagnetów, dokończyły dzieła zniszczenia.

(c. d. n.)

1) Wielkie łuki, naciągane korbą.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

ZAWODOWA PRACA KOBIET W AMERYCE

Pismo amerykańskie „Equal Rights“, Organ Narodowego Stronnictwa Kobiet w Ameryce, podaje następujące zestawienie statystyczne, dotyczące pracy zawodowej Kobiet w Stanach Zjednoczonych. Największa ilość kobiet pracujących zawodo są to biuralistki. Statystyki rządowe wykazują, że 45,6 proc. wszystkich urzędników biurowych, zarówno w urzędach państwowych, jak i prywatnych przedsiębiorstwach — stanowią kobiety. Najwięcej kobiet pracuje w bankach w charakterze buhaltek, oraz w biurach prywatnych jako maszynistki i stenografki.

Ostatniemi czasy stale wzrasta ilość kobiet zatrudnionych w branży finansowo-giełdowych. Finansiści amerykańscy utrzymują, że kobiety posiadają wybitne zdolności w tym ostatnim kierunku. Przewyższają one również naogół mężczyzn sprytem, szybkością orientacji i zręcznością techniczną.

Przeprowadzona przez Narodowe Stronnictwo Kobiet ankieta wśród biuralistek amerykańskich wykazała, że około 20 proc. z pośród nich zarabia wyłącznie na utrzymanie całej rodziny.

LEGENDY O STWORZENIU KOBIETY.

Podawaliśmy niedawno na tym miejscu poetyczną legendę o stworzeniu kobiety, wyjętą ze św. Ksiąg hinduskich. Każdy prawie naród starożytny posiada taką legendę, w której, jak w zwierciadle, odbija się najlepiej jego psychika i stosunek mężczyzny do nieodłącznej jego towarzyszk — niewiasty. Już w wieku XIV naszej ery, jeden z uczonych filologów włoskich, mantuańczyk Callini zadał sobie trud zebrania znacznej części tych podań i legend w rękopis, który dotąd przechowywane jest w ateńskim muzeum miejskim. Oto niektóre z tych legend:

„Gdy bogowie stworzyli świat — głoszą św. Księgi chińskie — zaludnili go oni z początku samymi mężczyznami, jednakże po bardzo krótkim czasie mężczyźni wpadli w wielkie lenistwo. Nie chcieli się im pracować, uprawiać roli, siać, ani zbierać owoców ziemi, którymi ich dobrotliwi bogowie obdarzyli. Głód i choroby poczęły się szerzyć wśród ludzi. Wówczas bóg Tao postanowił przyjąć z pomocą zagrożonej ludności, zsyłając na ziemię niewiasty. Stworzył on ją z oparów mgły, podnoszących się ku niebu w słoneczny wiosenny poranek i nadał jej gibkość i lekkość ruchów owych mgieł i promiennosc jutrzeńki. A powoławszy do życia ten twór boski, nakazał niewieście zejść na ziemię i przebywać wśród ludzi, nieustannie pobudzając ich do pracy i nie dając spocząć ani na chwilę. Odtąd kobieta stała się dla mężczyzny nieustającym bodźcem pracy. Wykonywa on, by ją posiadać i zatrzymać przy sobie, najtrudniejsze zadania, nie cofa się przed żadnym poświęceniem — a jednakże owa zesłana mu przez niebo towarzyszk, aż nazbyt często ludzi go tylko zwodniczym uśmiechem, pierzchając przed nim, jak mgielka poranna, rozwiewająca się w palących promieniach słońca.“

W Księgach japońskich znajdujemy znów inne podanie:

„Życie ludzkie składa się z 3-ch głównych czynników: wojny, życia społecznego i godzin odpoczynku. Pierwsze dwa czynniki są jedynie dostępne dla

mężczyzny, gdy jednak wojownik i mąż stanu pragnie wypocząć po trudach, stałoby się dlań kłeską nie do zniesienia i dlatego dobrzy bogowie zaradzili temu, dodając każdemu mężczyźnie towarzyszkę życia, której przeznaczeniem jest umilać mu chwilę odpoczynku. Wziąwszy kłębek złocistego jedwabiu i wyszeptawszy nad nim, jako miłosne zaklęcie, słowo kocham, bogowie zrzucili go z niebios na ziemię, a z kłębka tego powstała kobieta.“

U ludów semickich, egipcjan, babilończyków i asyryjczyków spotykamy z bardzo małymi warjantami opowieść genezyjską o stworzeniu kobiety z żebra uspiętego mężczyzny. Legenda starogermańska głosi, — że niewiasta zrodziła się z ziemi zlanej krwią poległych w walce za Ojczyznę bohaterów. Najbardziej zaś pesymistycznie zapatrywali się na kobietę Gallowie, którzy przypisywali stworzenie jej złym bóstwom, pragnącym osłabić dzielność i męstwo bojowe wojowników. Z tego powodu zalecali też oni młodemu wojakowi trzymanie się zdalek od kobiet. „Jeśli wpatrujesz się zbyt długo w kobietę — mówi stare przysłowie celtyckie — wierny twój miecz pokrywa się rdzą i staje się niezdolnym do boju, a tarcza wiotczeje, nie osłaniając już twojej piersi przed ciosami wroga.“

PROPAGANDA NA RZECZ BRZYDOTY.

Artystka francuska, panna Lucile Verne, prowadzi w Stanach Zjednoczonych oryginalną propagandę: występuje ona z odczytami publicznymi, mającymi na celu wykazanie... wartości i pożyteczności brzydoty. Panna Verne utrzymuje, że nic na świecie nie jest w stanie wyrzucić tyle krzywdy płci niewieściej, jak przeświadczenie, że największą ozdobą kobiety, jej głównym atutem życiowym, jest uroda. „Pogląd ten zakorzenił się już od tyłu wieków, nie tylko w umysłach mężczyzn, lecz i samych kobiet, że walczyć z nim jest niesłychanie trudno, mimo to — woła z zapalem panna Lucile — walczyć trzeba, walczyć musimy my, wszystkie kobiety, w imię naszej godności, w imię naszego człowieczeństwa! Musimy wreszcie usunąć ścianę, rozdzielającą świat kobiecy na dwa nierówne obozy: kobiet pięknych, uprzywilejowanych w każdej dziedzinie życia, i tych, które z powodu braku urody są całe życie kopciuszkami — spychane w kąt, ośmieszane i poniewierane przez wszystkich, począwszy od najbliższej rodziny, a skończywszy na pracodawcach i współpracownikach. Obowiązkiem nas, kobiet rozumnych, kobiet-ludzi jest wykazać światu, że nie uroda — jako cecha zewnętrzna, przypadkowa, a przeto tak przemijająca i zmienna — jest głównym plusem życiowym kobiety, lecz jej inteligencja, wartość moralna, czystość charakteru — te wszystkie cnoty, które cenimy w mężczyźnie“.

Po tym wstępie zasadniczym przytacza prelegentka szereg imion niewiast, które cenione były przez współczesnych i potomnych właśnie dzięki przymiotom ich duszy i umysłu, nie zaś ciała. Propagandę swą prowadzi panna Lucile z wielkim temperamentem, jednając sobie wiele zwolenniczek wśród amerykańek — oczywiście nie z typu „professional beauties“.

Najoryginalniejszym jednak z tego wszystkiego jest, że gorliwa obrończyni brzydkich kobiet należała do najbardziej urodziwych artystek! Z. B.

ZE ŚWIETLIC KOŁA POLEK

Świetlice Koła Polek wykazały w r. 1925 dużą żywotność i dużą tendencję rozwojową. Do jedenastu, czynnych obecnie grup, uczęszcza 325 dziewcząt, znajdujących w świetlicy możliwość rozbudzenia i zaspokojenia swych zainteresowań ze wszystkich dziedzin życia, a więc umysłowych, artystycznych i moralnych, oraz stwarzających miłe środowisko kulturalno-towarzystwie. Prócz pracy z dziewczętami, podjęto zorganizowanie niedzielnych klubów koedukacyjnych dla starszej młodzieży, oraz nawiązano żywy i stały kontakt ze środowiskiem członków świetlicy przez miesięczne zebrania rodzicielskie, oraz odwiedziny pracowniczek w domach członkiń.

Ubiegłe półrocze zakończyły świetlice urządzeniem dorocznych jasełek, przygotowanych przez dziewczęta z dużym wysiłkiem pracy i starania, które zostało uwieńczone b. dobrym rezultatem, bo wypełnioną po brzegi salą na każdym przedstawieniu.

Z TEATRÓW

TEATR IM. BOGUSŁAWSKIEGO

„Zagrano wreszcie „Rewizora“ — a mnie tak smutno i dziwnie na duszy”, pisał Gogol po premierze swojej komedji do jednego z przyjaciół.

I nie był to tylko smutek z powodu fałszywego pojęcia roli Chlestakowa. Smutny bywał prawie zawsze ten najmłodniejszy z autorów 19 wieku, ilekroć spoglądał na swe ukończone dzieło. „Rewizor“ jest właśnie jednym z tych dzieł od śmiechu nieprzytomnych, w którym tuż za śmiechem kryje się aż bolesne zniechęcenie do życia — jeśli ono choć w części jest takie! A takie właśnie jest — i to w częstocie niemal. Wszędzie, w każdym kraju jest „prowincja“, której posmak kto kiedykolwiek poczuł, pamiętać będzie przez całe życie. Wszędzie są i były zakopane izby zajazdów, wszędzie szulerzy przejezdni ogrywają ludzi w karty — wszystko jedno, czy to będzie zachodnio europejski „faraon“, czy swojsko rosyjski „sztos!“. Jest wszędzie na prowincji brudny dobrobyt opojów, małe złodziejstwa, lichy karjery, drobne podstępny i gwałty ciszkciem spełnione. I wszędzie jest Chlestakow. Gogol twierdzi nawet, że kazdy z nas był choć krótką chwilę w życiu Chlestakowem. (On sam był nim z całą pewnością: choćby wtedy, gdy mając za sobą jedynie kurs gimnazjalny objął katedrę historii na uniwersytecie petersburskim!) „I ja kiedyś byłem farysem!...“ Otóż Chlestakow jest właśnie farysem. Farysem na potrzeby drobnego, małego życia, które szeroko rozlewa swe płytkie wody po całej ziemi. Jest w nim wiele z gałgana, ogromnie dużo ze zwyczajnego durnia — ale przecież jest choć iskierka fantazji, żeby już nie powiedzieć: poezji. Kiedy Chlestakow kłamie — sam wierzyć zaczyna w swoje kłamstwa, kiedy oszukuje — nie czuje podłości swego postępowania. Na tle tych zupełnie już zoologicznych typów, jakimi Gogol otoczył swego bohatera, jest Chlestakow Farysem. Rola to trudna, i dlatego może prawie zawsze niezupełnie dociągnięta. Dlatego to główne blaski ściąga na siebie Horodniczy. Ale o tem dalej

„Rewizor“ jest komedją wszechświatowej sławy, jak najznakomitsze utwory Moliere. Gogol — pisarz tak specyficznie rosyjski — dał oczywiście silny koloryt rosyjski swojej sztuce, ale zupełnie nie zmniejsza to międzynarodowego znaczenia „Rewizora“. Rozumieć go i śmiać się z niego będą wszędzie — dopóki będą na świecie łapownicy, (a żaden znak na niebie, ani na ziemi nie wskazuje, by ród ich miał zaginać, tępi i beżmyślni urzędnicy, małe miasteczka o niebrukowanych ulicach... Miasteczka, w których jedyną rozrywką bywają tłuste i niestrawne wieczerze, pękate i smukłe flaszki i sen długi, ciężki, sen pod grubą pierzyną lub bajecznie kolorową kołdrą... Miasteczka, gdzie według słów Heinego „Nawet psu dłuży się czas...“

Póki tego wszystkiego na świecie nie zabraknie, będzie miał „Rewizor“ długi żywot przed sobą i liczne będzie bawił pokolenia. Oto dlaczego powinien znaleźć miejsce w żelaznym repertuarze każdego teatru popularnego.

Zrozumiało to kierownictwo artystyczne Teatru Im. Bogusławskiego, wznawiając przed paru dniami tę doskonałą komedję, której chętnie darowujemy pewną rozwlekłość i gawędziarstwo. Są to zresztą wady nietylko Gogola, ale wszystkich współczesnych mu pisarzy. Olówek reżyserski w tego rodzaju utworach ma zadanie bardzo trudne i niewdzięczne: żal skreślić choćby jedną kwestję, jedno słówko, bo każde jest arcydziełem w tej opowieści o młodym lekkoduchu, którego wielki strach i bardzo nieczyste sumienie urzędników bierze za rewizora chociaż, jak później ci sami urzędnicy przyznają, nie było w nim żadnych znamion podobnie znakomitej persony. Ów rzekomy rewizor, Iwan Aleksandrowicz Chlestakow, w najśmielszych swoich marzeniach nie przypuszczał, by mógł go spotkać podobny honor. Zatrzymał się w miasteczku, ponieważ się zgrał, i nie ma środków na dalszą podróż. Zachowuje się tak, jak się zachowuje zawsze: nie płaci, i czeka... Ale podobne zachowanie budzi podejrzenie w sferach urzędniczych, tembardziej, że krążą pogłoski o przyjeździe rewizora. A gdy miejscowi plotkarze, Bobczyński i Dobczyński, przysięgają, że to jest właśnie ów dygnitarz, brać urzędnicza, mająca niejedną grzeszek na sumieniu („kto go nie ma?“ pyta jeden z tych panów), jak jeden mąż stara się zjednać sobie łaski łapówkami i pochlebstwem.

Chlestakow do końca nie rozumie roli, jaką mu narzucono, z początku jest przerażony, potem poprostu korzysta ze sposobności „obłowienia się“, wreszcie, ulegając namowom swego sprytnego służącego, wycofuje się z gry, a raczej wyjeżdża jako triumfator, zaręczysz się z córką Horodniczego, [suto obdarowany... Do końca niezupełnie zdaje sobie sprawę, za kogo go biorą, ale puszcza wodze fantazji, upaja się własną błagą, kłamstwami tak oczywistymi, że poznałyby się na nich dziecko.. Dziecko, ale nie ci prowincjonalni dygnitarze, dla których słowo „Petersburg“, „Rada stanu“, „wist z posłami“ mają magiczne znaczenia... „Nawet jeżeli setna część z tego, co mówi, jest prawdą, to i tak strach pomyśleć...“ mówi Horodniczy. Rola Chlestakowa jest trudna, najtrudniejsza w tej sztuce. Wymaga od artysty specjalnych warunków zewnętrznych (postać niepozorna, ale niepozobawiona wdzięku; urwis, lekkoduch, błagier ale bez cienia szarży) i olbrzymiego poczucia humoru. Rola ta nie leży w zakresie talentu tak doskonałego aktora, jakim jest p. Justjan; miał i on jednak momenty bardzo dobre: w drugim akcie rozmowa z horodniczym, w czwartym „flirt“ z Marią Antonowną.

Świętym natomiast był Horodniczy p. Zelwerowicz. Brutalny i tchórzliwy, zuchwały i bojaźliwy, dziecinnie łatwowski i chytry, próżny i niewolniczo pokorny — a w każdym geście i każdym słowie — najzupełniej prawdziwy. Bobczyński pana Kurnakowicza nieporównany, Dobczyński pana Górowskiego też bez zarzutu, aczkolwiek artysta ten nie może komizmem dorównać panu Kurnakowiczowi, który jest cennym nabytkiem dla teatrów warszawskich. Panie Kunina i Romanówna z wdziękem zagrały prowincjonalne damy. Doskonałym Osipem był pan Orwid, reszta zespołu wywiązała się ze swego zadania poprawnie, aczkolwiek co do charakteryzacji i zrozumienia poszczególnych typów możnaby mieć pewne zastrzeżenia.

Za wyreżyserowanie scen zbiorowych należy się panu Zelwerowiczowi prawdziwe uznanie. Z. P.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Zjednoczenie Młodzieży polskiej w Poznaniu rzuciło na półki księgarskie nowe książki i nuty.

„Kazania“: ks. Al. Rogóż — nauki rekolekcyjne dla młodzieży żeńskiej.

„Akademja papieska“ — ks. Fr. Moreń.

„Św. Teresa od Dzieciątka Jezus“ — Irena Suszczyńska.

„Wielkanoc“ Eminus. Ks. Jan Wiśniewski; „Błogosław Boże!“

Hymn na dwa głosy.

L. Ślazi: Deszcz Róż — dwie pieśni ku czci św. Teresy od Dzieciątka Jezus.



MODY · I · ROBOTY



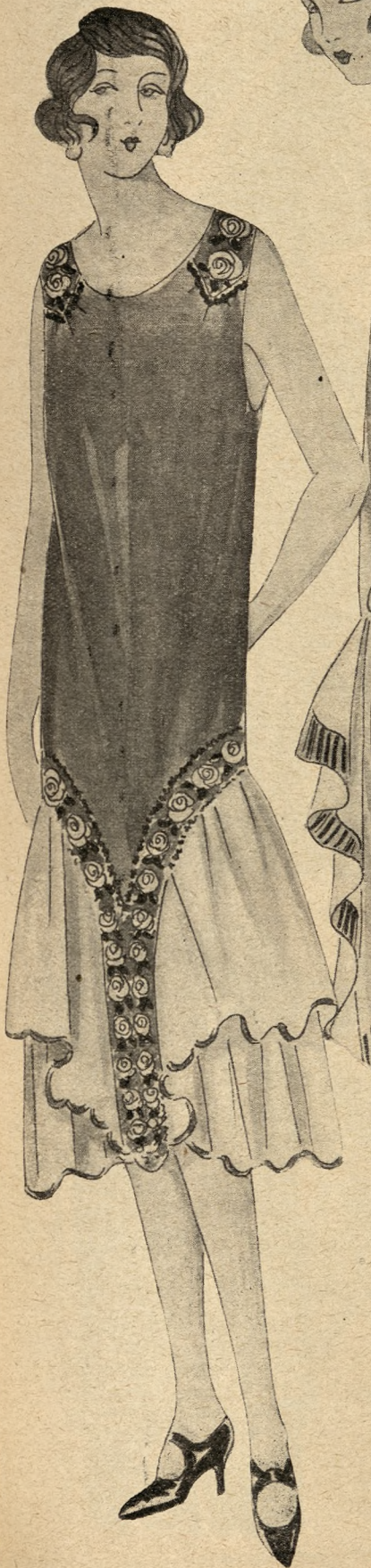


105.

106.

107.

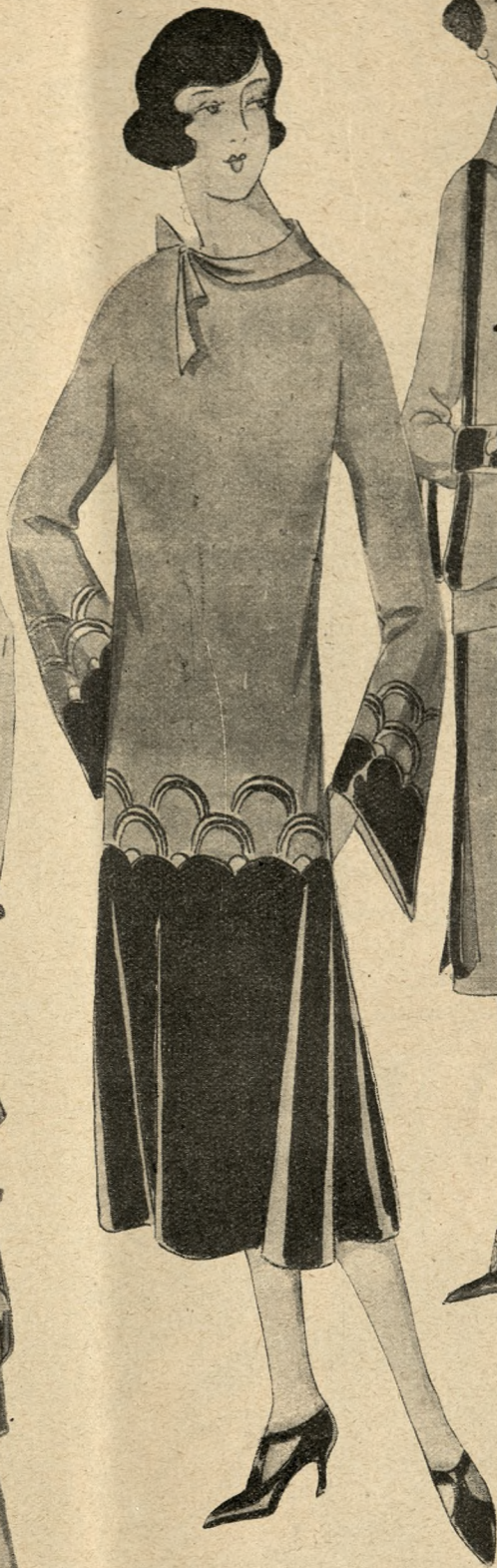
108.



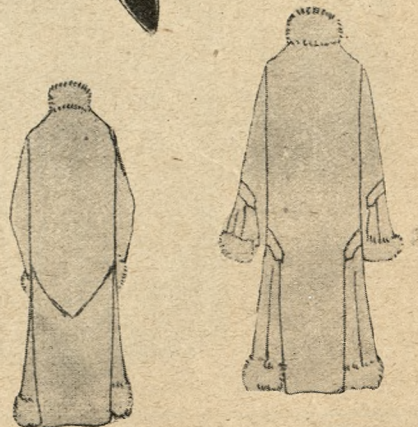
109



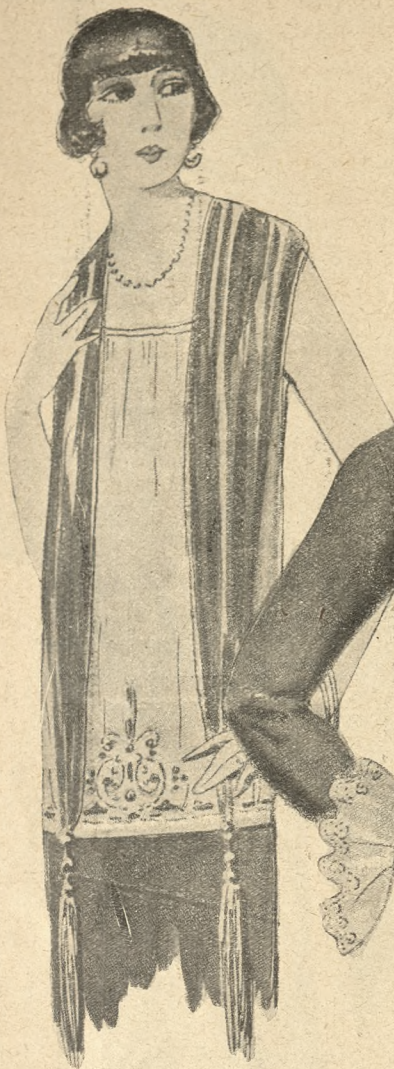
110



111



112



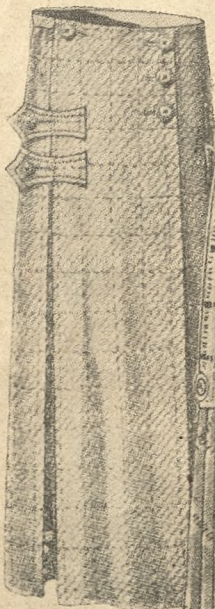
113.



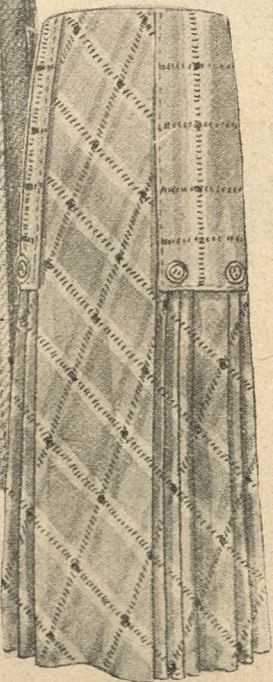
114.



115.



116.



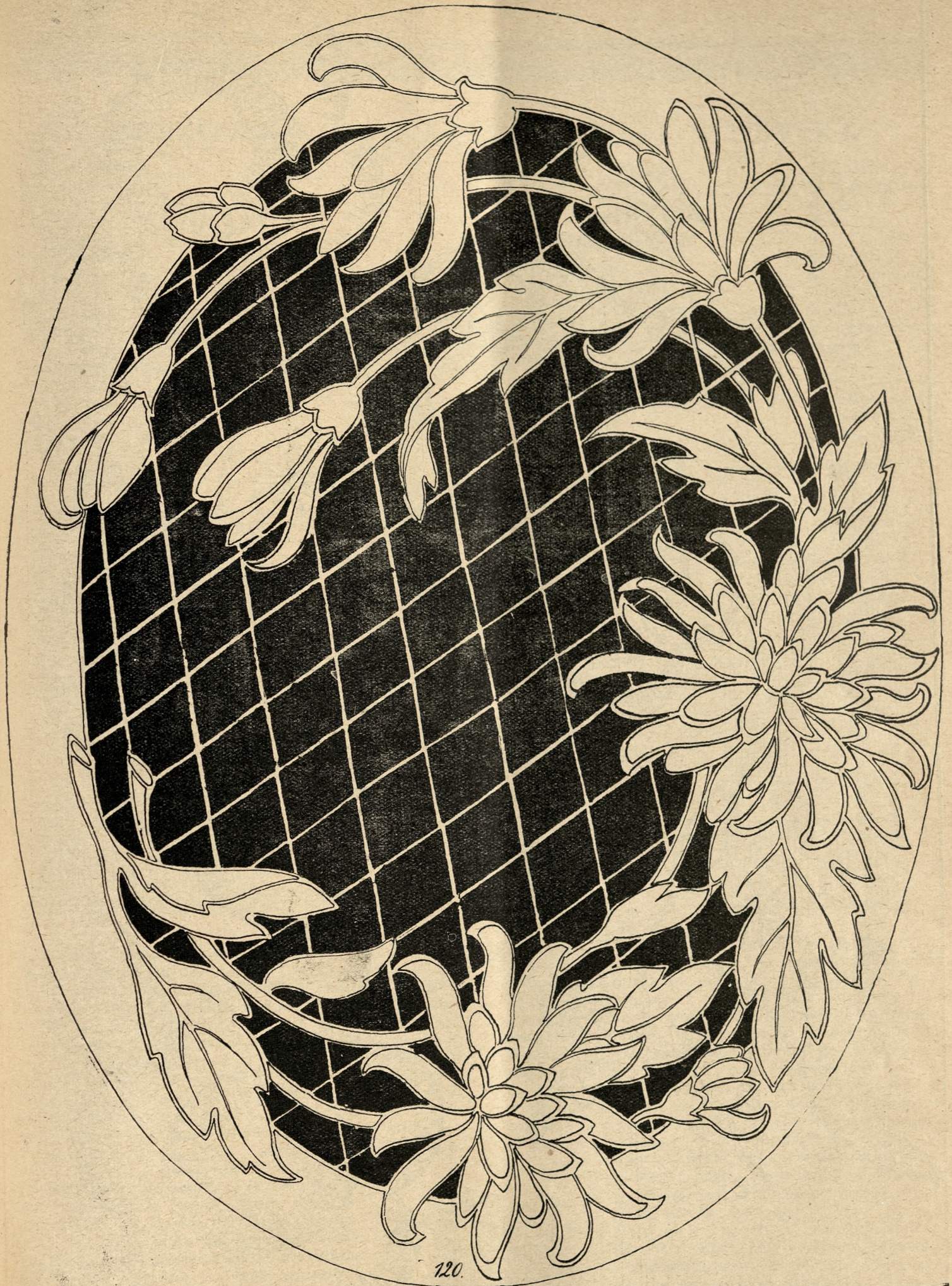
117.



118.

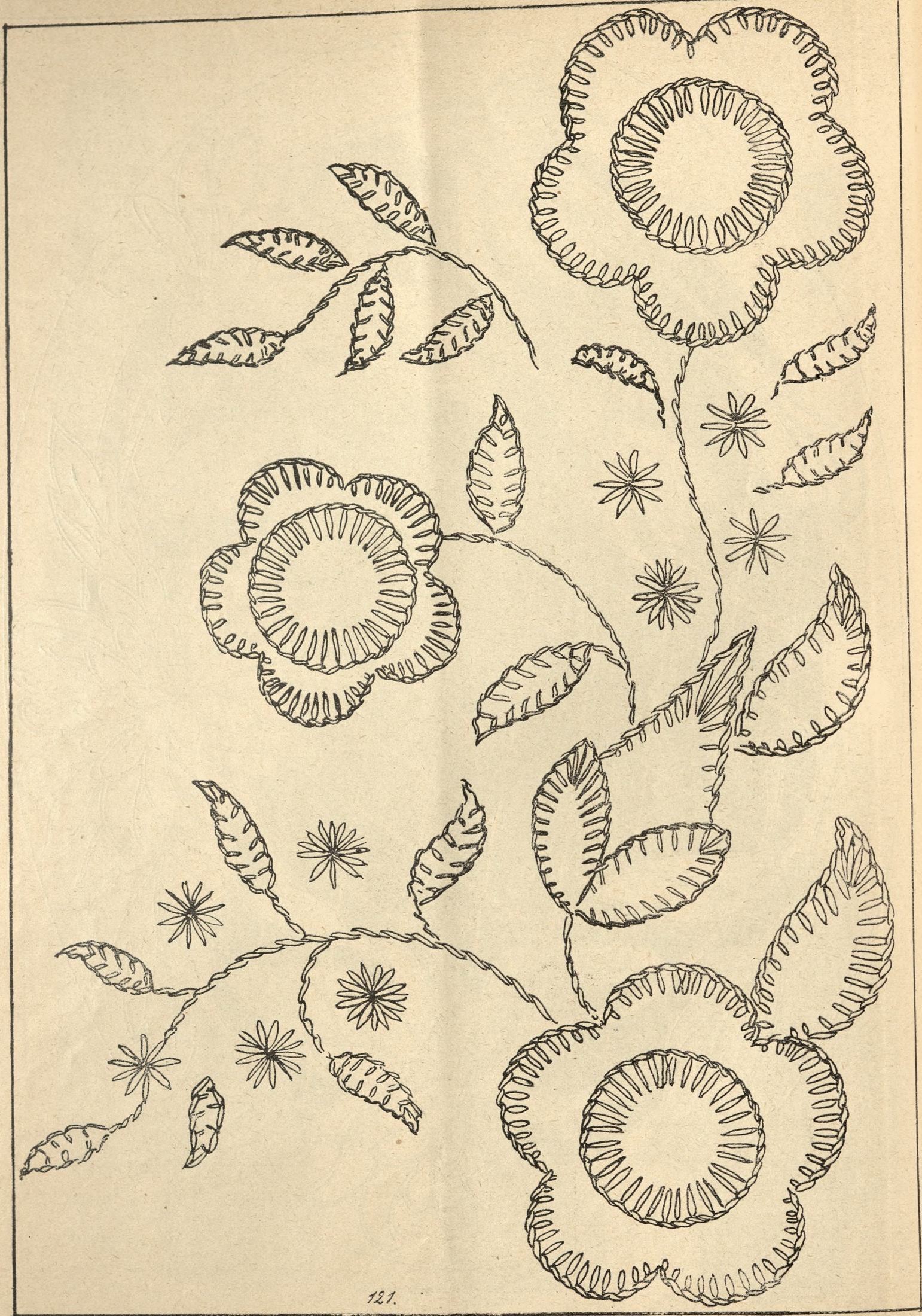


119.



120.

Projektowała Irena Wipszycka z Konina.

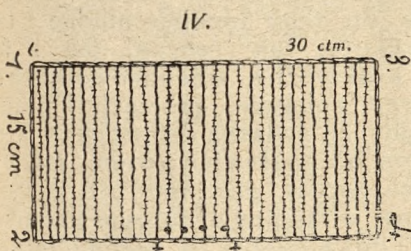
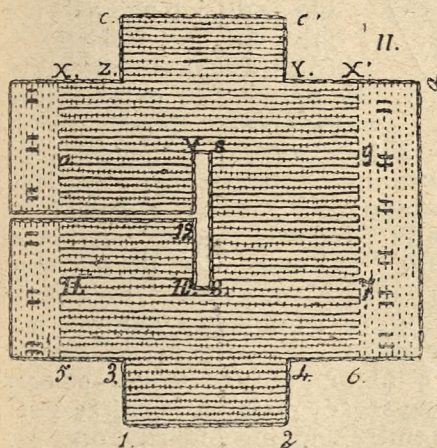


SZYDEŁKOWA KOMBINACJA DLA MAŁEGO DZIECKA

Na wykonanie tego ubranka potrzeba włóczki kremowej i różowej, po 100 gr., szydełko średniej grubości, 75 cm. różowej wstążki, 4 zatrzaski, igłę kanwową i 6 guziczków z perłowej masy. Ścieg jest zastosowany rowkowy, któ-



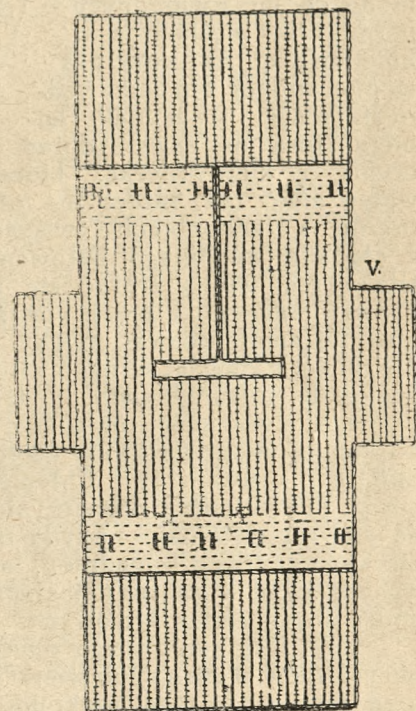
du szyjki. Od lit. S zrobić łańcuszek 4 cm. długi (patrz lit. V.), szerokość od S. do V. odpowiada szerokości obwodu szyi na poprzecznym ramieniu. Od lit. V. robi się drugą połowę pleców aż do spotkania z lit. O. Na linii



ry wykonywa się, wbijając szydełko pod jedną tylnią nitkę poprzedniego rzędu, przez co tworzą się rowki, i zmieniając co dwa rzędkie kolor włóczki. Robota składa się z trzech części: staniczek, pas przedni i tylni, przednia i tylnia część majteczek. Staniczek rys. Nr. II zaczyna się od rękawka z kremowej włóczki. Zrobiony łańcuszek 20 cm. długi, (patrz linia 1—2) jest podstawą, na której robi się tam i zpowrotem szerokość rękawka, aż do wysokości

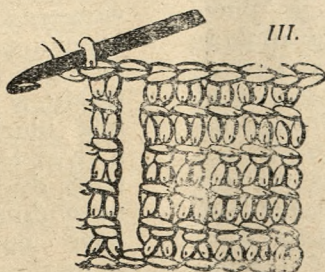
10 cm. (linia 3—4). Od Nr. 4 kierując się do Nr. 6 zrobić łańcuszka 10 cm. Oddzielny kawałek włóczki koloru odpowiedniego przywiązać do roboty w miejscu oznaczonym Nr. 3 i zrobić 10 cm. łańcuszka (patrz Nr. 5). Rozpocząć robotę od Nr. 6 i robić tam i zpowrotem całą szerokością rzędy na wysokość 8 cm. do Nr. 7. Od Nr. 7 zrobić rząd 18 cm. długi skończyć na Nr. 8, odwrócić robotę i zrobić tą szerokością 14 cm. wysokości aż do Nr. 9. Ten kawałek jest środkiem staniczka. O 4 cm. od Nr. 8. (patrz linia 8—10), przy Nr. 10 przywiązać nitkę dowolnego koloru i robić plecki długie 18 cm. do Nr. 11. Linia 8—10 będzie formowała szerokość obwodu szyjki przy ramieniu. Tam i zpowrotem robić rzędy, (patrz linia 10—11) na wysokość 7 cm. aż do Nr. 12. Tu kończymy połowę pleców. Drugą połowę rozpoczynamy łańcuszkiem 18 c. długim. Robimy na jego podstawie rzędy na wysokość 6 cm. co nas doprowadza do lit. O. Zatrzymujemy się i rozpoczynamy od Nr. 9, robiąc rzędy na wysokość 18 cm. aż do lit. S, która oznacza koniec przedniego obwo-

O. V. S. 9 robić rzędkie przez całą szerokość aż do wysokości 8 cm. (patrz linia X—X) Na drugi rękawek od linii X, robić rzędkie długości 30 cm. aż do lit. Z. Tu zatrzymać robotę. Na szerokość 20 cm. wykonać linię Z—Y, odwrócić i robić rzędkie 20 cm. długie pomiędzy lit. Y—Z zawarte, na wysokość 10 cm. (patrz linia C—C) Pród paska robi się tym samym ścięciem z kremowej włóczki, przywiązuje się nitkę do Nr. 6 i robi się na linii 6—X u dołu



przedniej połowy staniczka rzędkie aż do 8 cm. wysokości (patrz linia A). Tu trzeba wykonać 12 pionowych dziurek tak, jak to wzór III wskazuje. Na te dziurki robi się na 2 cm. wysokie klapki, z tych 5 szerokości 3 cm., reszta 1½ cm. szerokie. Po zrobieniu wszystkich kłapek, łączymy je od góry rzędem łańcuszkowych ocz., które tworzą podstawę do dalszych rzędów, kończących dół paska (patrz linia a—a). Na tył pasa zrobić z obydwóch stron pleców to samo, co z przodu. Majteczki składają się z dwóch prostokątów rys. Nr. IV, 30 cm. wys. na 15 cm. szer. Robić w kierunku długości na podstawie 15 cm. łańcuszka (p. linia 1—2).

Tak jak staniczek przeplatać kremowe i różowe paski. Przy linii 3—4 pierwszy prostokąt jest skończony, trzeba zrobić drugi identyczny i oba przyszyć do dołu pasa, jak to rys. Nr. V wskazuje. Złożyć ubranko napół, zeszyć spody rękawów, przedłużając szwy aż do dołu majteczek. Po prawej stronie staniczka przyszyć sześć guziczków po przeciwnej, robiąc pentelki. W środku majteczek przyszyć 4 zatrzaski, przeciągnąć w pasie wstążkę, i związać ją z tyłu na kokardę.



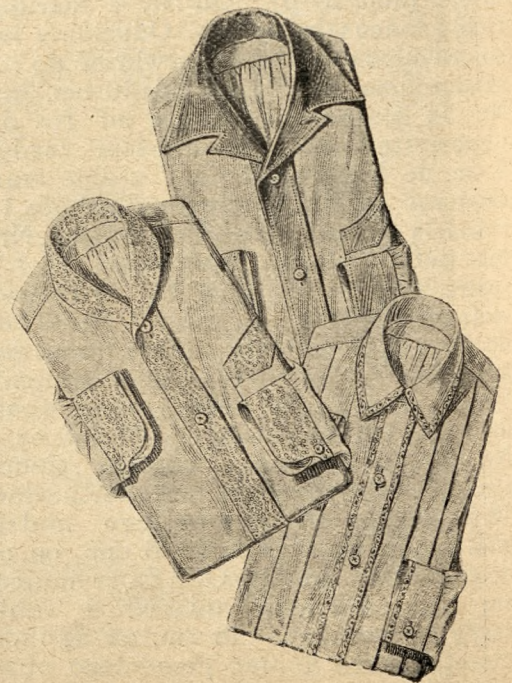
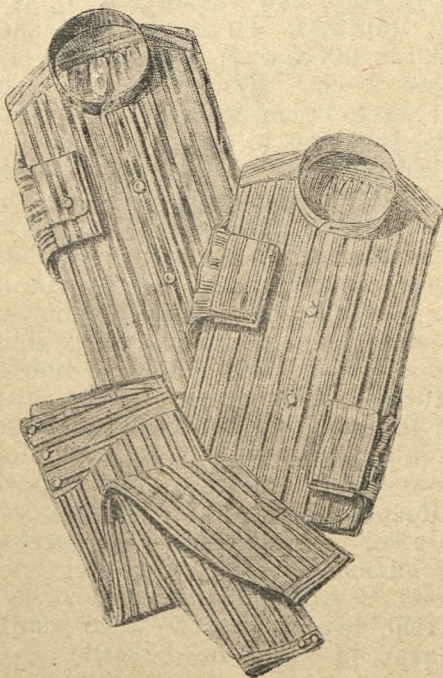
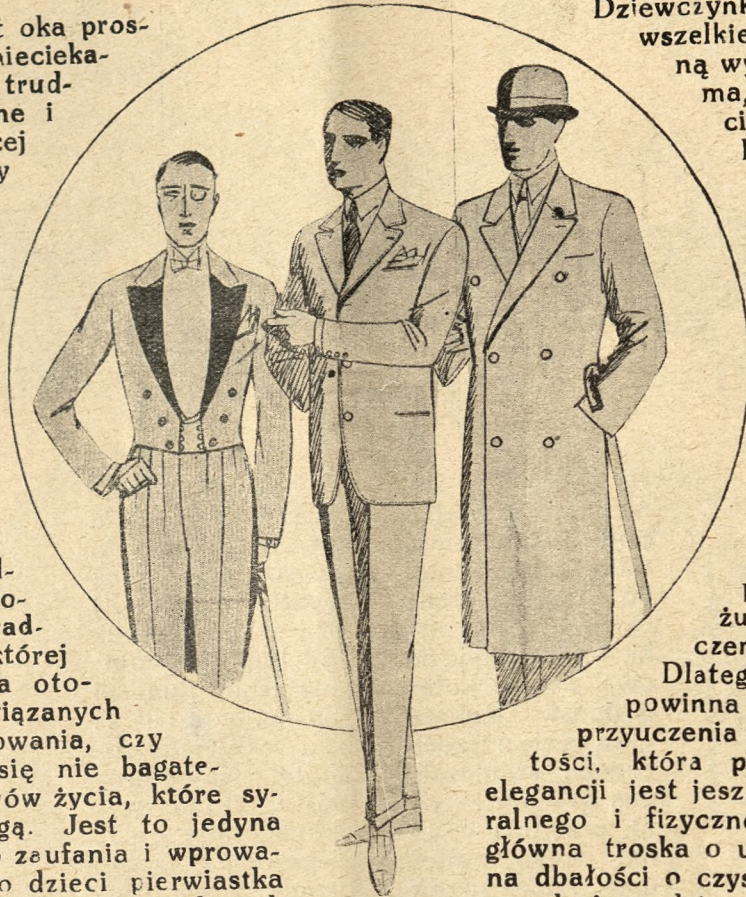
JAK UBIERAĆ NASZYCH SYNÓW

Zagadnienie na pierwszy rzut oka proste, mało skomplikowane i nieciekawe, a jednak ważne, trudne, poniekąd odpowiedzialne i kryjące w sobie dużo więcej subtelności, niż zdawałyby się mówić o tem ciemne barwy. surowość linii. Ileż razy matkę wprawia w prawdziwy kłopot błahe zapytanie, na które trzeba jednak dać treściwą i racjonalną odpowiedź. Wczuwamy się zwykle, całą duszą, w modę kobiecą, przechodząc koło modnych, lub niemodnych garniturów męskich z obojętnością zrozumiałą, wobec nudnej dla laika jednostajności. A jednak, kobieta, która jest zawsze doradczynią i kierowniczką, której wpływ znaczący tak bardzo na otoczeniu i jednostkach, związanych z nią siłą wspólnego bytowania, czy siłą serca, winna starać się nie bagatelizować żadnego z przejawów życia, które synów jej zainteresować mogą. Jest to jedyna droga do zdobycia pełnego zaufania i wprowadzenia w stosunek swój do dzieci pierwiastka cennego, a wiążącego najsilniej, pierwiastka tak doskonale ujętego słowem francuskim: „camaraderie“, koleżeństwa. Chłopiec, który znajdzie w matce kompetentną doradczynię zwracać się będzie do niej z zapytaniami nie tylko dotyczącymi ważnych, pierwszorzędnych zagadnień, ale i z zapytaniami wchodzącymi w zakres najbanalniejszych, najbardziej codziennych spraw życiowych.

Ileż razy syn zasięga opinii matki przy czynieniu zakupów bielizny lub wierzchniego odzienia! Dobrze jest — gdy rady matki potrafią być praktyczne i uwzględniające rozumną estetykę i modę. Chłopca trzeba przede wszystkim prowadzić po odpowiedniej linii od najwcześniejszych lat dzieciństwa, przyuczając go do pewnego spokojnego i surowego wykwintu, którego podłożem winna być najdalej idąca dbałość i czystość.

Dziewczynka, podatniejsza i czulsza na wszelkie przejawy estetyki, jest zdolną wyrobić się w tym kierunku sama, chłopiec, którego lata dziecińskie zeszyły pod znakiem swobody, graniczącej z zaniedbaniem i nieporządkiem, zostanie już takim na całe życie, a „elegancja“ jego, jeżeli z czasem jej nabracie zechce, będzie zawsze powierzchowna. Nikt chyba nie cierpi tak dotkliwie nad brakami wynikłymi z bagatelizowania wyrobienia poczucia ładu i porządku w chłopcu, jak kobieta, na której życiu domowym ciąży ono z siłą przekleństwa, przysparzając pracy i paraliżując wysiłki o nadanie otoczeniu estetycznego wyglądu.

Dlatego też żadna z kobiet nie powinna bagatelizować obowiązku przyuczenia chłopca do dbałej czystości, która prócz podstawy prawdziwej elegancji jest jeszcze i podstawą zdrowia moralnego i fizycznego. W latach dziecięcych główna troska o ubiór chłopca winna polegać na dbałości o czystość ciała, jak najczęstszej, a w lecie codziennie zmianie bielizny, oraz wygodnej, niekrępującej swobody ruchów formie ubrania. Nadają się do tego idealnie modne i tak bardzo używane trykoty, tak ręczne, jak i fabryczne. Estetyczne, praktyczne, stosunkowo niedrogie, odpowiednie przy zabawie, sportach i pracy, nie znikną chyba nigdy ze światka dziecięcego, którego są prawdziwym błogosławieństwem. Barwy, w jakie ubieramy chłopców, powinny być zawsze dyskretne i praktyczne, a tkaniny w dobrym gatunku, co umożliwia pranie i odświeżanie. W sezonie letnim kwestja ubrania dziecka jest nad wyraz uproszczona, wobec dążenia do uprzyśtępnienia działania powietrza i słońca na ciało dziecięce. Praktyczne nad wyraz są wówczas ubranka z surowego jedwabiu, w formie bluzki i przypinanych do niej na widoczne duże guziki z perłowej masy spode-



niek. Szyjka i ręce odsłonięte, lub kołnierzyk z tego materiału, wykładany, ozdobiony kokardą barwnego krawata. Ubranko takie kładzie się wprost na gołe ciało, kontakt z jedwabiem jest miły i higieniczny, co wykazały liczne badania lekarskie, uznając bieliznę jedwabną za czynnik współdziałający ze zdrowotnością, gdyż jedwab przepuszcza łatwiej, niż jakiegokolwiek tkaniny, promienie słoneczne, nie tamując ich wpływu na naskórek. Teoria ta skłoniła lekarzy zagranicznych do poruszenia w pismach projektu obniżenia cła od jedwabi bieliznianych, podciągając je pod rubrykę nie luksusu, a przedmiotów pierwszej potrzeby.

Ważną rolę w ubieraniu chłopców, prowadzących życie ruchliwe i czynne jest nie przeciążanie ich zbyt wieloma warstwami tkanin. Gorące ubieranie dziecka powoduje łatwo zaziębienie, a choroby z niem związane wpływają fatalnie na rozwój organizmu i przeciwdziałają zahartowaniu chłopca i jego tężyznie cielesnej.

Mówiąc o wieku dzieciennym wypada zwrócić uwagę na niestosowne i zgubne w następstwach bawienie się urodą dziecka, strojenie chłopca w kokardy, fryzowanie, zawijanie loków i wyrabianie w nim tym sposobem zniewieściałości, która w życiu staje się dla mężczyzny źródłem udręki, a nieraz i śmieszności, a w każdym razie nie licuje z rolą szermierza, który tak ciężko musi walczyć z losem, dźwigając na barkach odpowiedzialność za byt kraju i rodziny.

Prostota pełna godności, dobrego smaku i wykwintu, oto główne przykazania tam, gdzie chodzi o pewną doskonałość zewnętrzną. W parze z temi wskazaniem chodzi unikanie wszelkiej przesady, zbyt barwnych sweatrów, spodni, odsłaniających nogę na kilkanaście centymetrów, zbyt szerokości tychże, śmiesznej linii, uwydatniającej szerokość ramion, a zwążającej pas karykaturalnie, białych getrów, noszonych na ulicę i całego szeregu zwracających uwagę, a niestosownych dodatków, które

nie tylko nie podnoszą wyglądu, ale ośmieszają i rażą. Nieskazitelnie świeża bielizna, do ubrania zawsze biała koszula i kołnierzyk sztywny, miękki jest odpowiedni tylko przy typie ubrania sportowego, lub przy pracy, doskonale obuta noga, oto podstawa dobrego wyglądu, ubranie byle czyste, starannie odprasowane i dobrze skrojone może mieć się z subtelnościami mody, bez szkody dla ogólnego wyglądu. Lepiej mieć dobrze utrzymaną rękę, nosić na sobie cechy wykwinnej czystości i dbałości, niż rzucać się w oczy krojem balonowatych spodni, trawistym sweatrem, lub przesadnie barwną i widoczną kratą palta, czy garnituru.



Z toalety męskiej wykreślić też trzeba wszelkie zbyt wyraźne zapachy. Woda kolońska w wyborowym gatunku do natarcia po kąpiel, lub prysznicu, bezcennym przy codziennych za-

biegach toaletowych, a jakaś dyskretna kropla fiołków, wysączona na chustkę od nosa, lub pod kłapę garnituru, która nie tyle nawet pachnie, ile wytwarza specjalną atmosferę w szafie z ubraniami i bielizną, nadając im cechę osobistą i wykwinną. W toalecie męskiej, jeżeli mamy nad nią dyrektywę i pieczę, a nadto i wystarczające środki do skompletowania takowej, dbajmy zawsze w pierwszym rzędzie o to, aby wszystko było w gatunku pierwszorzędnym i w małych, ale zastosowanych do okoliczności ilościach. Ubranie codzienne, ubranie sportowe, ubranie wizytowe i wieczorowe, płaszcz jesienno-wiosenny, ciepłe palto zimowe, płaszcz nieprzemakalny, elegancki pled, małe paski skórzane do spięcia go w podróży, kuferek skórzany do wagonu, neseser z przyborami toaletowymi, pyjama, pokojowe pantofole, no i bielizna ładna, gustowna i w wystarczającej ilości.

Taka „wyprawa“, przy staraniu i dbałości, oraz kompletowaniu w miarę zniszczenia poszczególnych obiektów będzie podstawą kulturalnego i eleganckiego wyglądu w życiu pracy, życiu domowym i towarzyskiem.

W. D.

STOSOWNE UBRANIE

Z różnych powodów ubierają się kobiety: jedne dla okrycia się, drugie dla podniesienia urody i wdzięku, inne jeszcze przez zamiłowanie strojenia się w coraz to nowe piórka, a dzięki tak często zmieniającej się modzie, trzeba przyznać, że o to najłatwiej.

Tempo obecnego życia odbija się i na naszych strojach. Parę razy zaledwie włożona suknia, lub kapelusz, przestają już być „ostatnim krzykiem mody“, a lekkomyślna ich właścicielka sprawia nowe, przerabia stare, lub jeżeli i na to nie stać jej zbyt często, czuje się bardzo pokrzywdzoną.

To samo dzieje się z bucikami, pończoszkami, rękawiczkami i przeróżnymi, tak mile dopełniającymi toaletę drobiazgami.

O modzie, tej wszechpotężnej władczyni wielu kobiet, powiedzieć można, że jest najkapryśniejsza zbytnica ze wszystkich swoich adeptek, choć dla wielu z nich nie egzystuje ani zdrowy rozsądek, ani pojęcie o tak niezbędnej, gorąco zalecanej oszczędności. A przecież tak niedawno jeszcze, sprawiając kostjum, okrycie, lub suknię, rozumna kobieta wybierała przede wszystkim trwałe materiały, spokojny fason, który możnaby długo nosić. Moda wprowadzie

zawsze się zmieniała. ale zmieniała się w drobnostkach nieznacznie, tak że małym kosztem można było przystosować się do niej. Sprawiwszy na wiosnę kostjum, pewnym się było noszenia go przez kilka sezonów, dzisiaj zanim zdążymy przyzwyczaić się do ubrania, już jest niemodne. Wszystko się zmienia — suknie tylko pozostają ciągle krótkie, krótsze nawet jak w ubiegłym sezonie.

Dla utrzymania równowagi zapewne, rękawy zupełnie długie stanowczo otrzymały obywatelstwo. Patrząc, na te krótkie, ledwo do kolan sięgające sukienki, myślę nieraz, że moda zrobiła z nas bezkrytyczne niewolnice, które zatraciły poczucie tego, co piękne i stosowne. W tym wyrazie leży tajemnica piękna, bo nie może być pięknie ubraną osoba — ubrana niestosownie. A stosować musimy się do tyłu względów: do wieku, urody, figury, no i stanowiska, a najważniejsze do środków materialnych. Czyż można wyobrazić sobie np. coś okropniejszego jak niemłodą osobę, wyróżzoną, ubraną, jak podłotek lub wystrojoną w jaskrawe choć modne kolory.

Elegancka kobieta będzie umiała zastosować spokojny odcień na kostjum. nawet wówczas gdy moda proklamuje barwy jaskrawe nie ukaże się na ulicy rano, wychodząc za interesami, w strojnej jedwabnej sukni i kapeluszu odpowiednim tylko na poobiednie wizyty. Na wieczorowe przyjęcie nie włoży ciężkiego sportowego bucika, a na błoto pantofelek w kolorowej skórki. Tak samo nie pójdzie na pogrzeb w jaskrawej toalecie, nie ubierze się żałobnie na wesele.

Dar ubierania się stosownie jest wrodzony, kto go nie posiada, niech stara się nosić rzeczy skromne, spokojne i unika ostateczności, będących zawsze w złym guście.

Są pewne zasadnicze, nie ulegające fantazjom mody przepisy, do których stosując się można uniknąć wykroczeń przeciw dobremu smakowi. I tak na ulicę wychodzi się w kostjumie, lub płaszczu, za wyjątkiem upalnych dni, kiedy lekka, trochę otwarta sukienka jest konieczna, długa tak, aby nie stanowiła anachronizmu, ale dyskretna. Półbucik lub pantofelek (wysokie buciki nie zgadzające się z krótkimi sukienkami, zupełnie zarzucono) na średnim obcasie, bardzo wysokie, francuskie, nosi się tylko do salonu, odpowiedni do pory roku i pogody, kapelusik mały, skromny, pończoszka i rękawiczka, dobrana do kostjumu, płaszczka, lub sukni, stanowić będą śliczną, bo scharmonizowaną całość. Na ulicę nie nosi się biżuterji, najwyżej kolczyki, parę pierścionków, jakaś skromna, złota broszka, zresztą przeładowanie klejnotami zawsze jest w złym guście.

Po obiedzie używa się sukien jaśniejszych, kapeluszy lżejszych, bardziej ubranych, nawierzchni na ulicę zawsze nosi się płaszcz, kryjący suknię. Wieczorem toalety i okrycia są strojne, co bynajmniej nie znaczy zbyt kowne. Znam osobę bardzo dobrze ubierającą się, którą od kilku lat widuję ciągle w tej samej wieczorowej sukni. Zręcznie do mody przystosowana i przybrana, wygląda zawsze świeżo i ładnie. Tu nadmienić muszę, że jednym z ważniejszych czynników elegancji, jest umiejętne noszenie ubrania, na które bardzo wpływa staranność i dbałość o nie.

Nie powinno być nigdy pomięte, ani poplamione, po zdjęciu zaraz oczyszczone, rozwieszzone

i schowane, a zachowa długo świeży i elegancki pozór.

Kobieta mająca, że się tak wyrażę, odczucie taktu w ubraniu, umie wybrać z tego co modne, to co dla niej właściwe. Ze ślicznych noszonych kolorów: bois de rose, roses fanées, pomidorowy, brązowy, pervenche i t. d. wybierze cię najkorzystniejszy dla jej cery i urody, nie ubierze się do pięty, kiedy modne są krótkie suknie, ale i nie włoży sukni, sięgającej do kolan za ledwie, jednym słowem nie siebie przystosuje do mody, ale modę do siebie, biorąc z niej tylko to co przynosi ładnego i nobliwego.

Młodym, a zręcznym osobkom łatwo ubrać się ładnie, świetność jaskrawych barw, powiewność materiałów, stanowić będą korzystne tło dla wdzięku młodości, lekkie wyłamanie się z linii ściśle dobrego tonu, trochę oryginalnej indywidualności, byle w niej ładnie było, wybaczają nawet najsurowsi krytycy, Trudniej utrzymać się na odpowiednim poziomie starszej kobiecie.

Są osoby, które nie umieją się zestarzeć. Co jest tego powodem? czy że duch o tyle dłużej młody nie może uwierzyć, że ciało młodem być przestaje, dość że smutny ten objaw zbyt często widzimy. Popatrzmy uważnie w lustro. Gdy zobaczymy w nim postać, zbyt pełną, lub chudą, twarz, choć jeszcze ładną, ale zmiętą i gdzieś tam pomarszczoną, cerę przyżółkłą, włosy przetkane zlekką srebrnymi nitkami, ruchy mniej elastyczne, czas największy pomyśleć o odwrocie i powoli wycofać się z grona tych, które modzie hołdują.

Dyskretnie, bez zwracania uwagi, stworzyć sobie, na zasadzie panującej — swoją własną modę, którą dłuższy czas zachować będzie można. Unikać wszystkiego co wyzywające, krzyczące, krańcowe. Skromność fasonu, wykwiń roboty i gatunku materiałów, umiejętne przystosowanie barw, oto atuty, które wygrawszy, będzie elegancką i dystygowaną starsza kobieta. Nogi nie obuje w nazbyt spiczasty na śmiesznie wysokim obcasie pantofelek, włosy ułoży tak, jak jej do twarzy, kapeluszek przystosuje do swoich rysów, nie obwiesi się błyskotkami i świecidłami, ale we wszystkim zachowa poczucie umiaru i godności. Piękna prostotą, miła dla oka, harmonijna w linii, dojdzie do wieku, w którym moda jest już tylko czczym wyrazem, albo zaciekawieniem, co też ludzie jeszcze wymyślić potrafią. W podeszłym wieku największym wykwiem jest czystość, skromność, dobra robota i gatunek ubrania. Osoba poważna latami, która jednak zupełnie od świata się nie odsunęła, byle czego włożyć na siebie nie może. Kolory, które nosi, powinny być ciemne, choć niekoniecznie czarne, bucik wygodny, szeroki, na niskim obcasie, suknie luźne — długie, kapeluszek spokojny, do twarzy i całej postawy dobrze dobrany — w lecie i w zimie tym samym fasonem robiony, tak jak i uczesanie, które w pewnych już latach zmieniać nie wolno. Moda nie bierze w rachubę starych kobiet — niech wspaniałomyślnie odpłaca jej tem samem, zyskają na tem wiele: — zachowają własny naturalny pozór — własny srebrzysty kolor włosów i własną indywidualność. Zestarzają się z godnością, nie szukając ratunku w sztuce, nie używając pudrów i szminek. Najwyższą ich kokieteryją będzie odważne przyznanie się do wieku, na który nie wyglądają.

PIŚMIENICTWO OGRODNICZE

(dokończenie)

W r. 1879 powstał „Ogrodnik polski,” wydawany początkowo przez firmę ogrodniczą tej samej nazwy, a następnie przez Towarzystwo Ogrodnicze Warszawskie pod redakcją Edmunda Jankowskiego i Franciszka Szaniora, przy bardzo czynnej, owocnej współpracy zamiłowanej przyrodniczki, ś. p. Heleny Alexandrowiczówny, córki wybitnego uczonego botanika i wielkiego miłośnika ogrodnictwa, prof. Jerzego Alexandrowicza, założyciela i pierwszego prezesa Tow. Ogrodniczego Warszawskiego i twórcy polskiej jeszcze szkoły ogrodniczej, oraz ogrodu pomologicznego w Warszawie.

Zawieszony na kilka lat „Ogrodnik Polski”, odżył w r. 1911 jako „Ogrodnik”, pierwsze i jedyne pismo tygodniowe ogrodnicze w Polsce, pod redakcją Stanisława Schönfelda, który przez lat trzy stał na jego czele. Od r. 1914 wskutek trudności wojennych „Ogrodnik” ukazywał się rzadziej i nierównomiernie, ale przetrwał ten ciężki okres bez przerwy, dzięki wielkim wysiłkom moralnym i materialnym jego obecnego redaktora, Franciszka Szaniora.

Stopniowo, w miarę normujących się warunków wydawniczych, to najstarsze w kraju naszym pismo ogrodnicze przybiera szatę dwutygodnika, i borykając się z przeciwnościami, szerzy z zapałem wiedzę zawodową.

Jaśniejsze horyzonty otworzyły się przed „Ogrodnikiem” dopiero z początkiem r. 1925 gdy go przejął wybitny ziemianin, z służył działacz społeczny, p. Witold Kleniewski. Światły rolnik, dobry obywatel kraju, wyrobił sobie przekonanie, że w obecnych warunkach obywatelstwo nasze nie powinno twać nadal w ciasnym zakresie dotychczasowych metod eksploatacji posiadanej ziemi, że coraz trudniejsza walka o byt, że wzrastające ciężary i potrzeby winny skierować pracę na torw bardziej intensywne; że się dwa bratnie zawody: rolnictwo i ogrodnictwo, ściśle zbratać powinny, a przyzwawszy przemysł do pomocy, podnieść wydajność naszych gospodarstw. Więc w swych majątkach: Szczekarkowie i Lemszczyźnie zakłada szkółki drzew owocowych, fabrykę przetworów, chmielniki, i wszystko prowadzi pewnym krokiem do rozkwitu, stwierdzanego nagrodami najwyższymi, przyznawanymi na wystawach.

Ale niedość robić dobrze samemu. Żeby szerzyć tę ideę uprzemysłowienia gospodarstw i wcielania do nich szeroko ujętego ogrodnictwa — rozwija „Ogrodnika”, rozszerza jego zakres, podnosi stronę graficzną i nadaje pismu postać, jakiej nie miało od początku swego istnienia. Dziś „Ogrodnik” stanowi

organ poważny, służący szczerze i z zapałem interesom większych gospodarstw rolnych, dążących do uprzemysłowienia i ogrodnikom, którzy chcą rozszerzyć zakres swej wiedzy.

Przed wojną wychodziły jeszcze dwa poczytne miesięczniki: w Warszawie od r. 1890 „Pszczelarz i Ogrodnik”, przekształcony następnie na „Ogród”, pod redakcją ś. p. Stanisława Rutkowskiego, oraz w Krakowie „Ogrodnictwo”, od r. 1900 pod redakcją prof. Józefa Brzezińskiego. Organ ten, wskrzeszony po wojnie, w byłej Kongresówce nie cieszył się szerszą poczytnością wskutek ciasnych, dzielnicowych poglądów, głoszonych często w przykrym tonie przez jego redaktora.

Przez pewien czas wychodziła w Toruniu „Gazeta Ogrodnicza” i w Tarnowie „Poradnik Ogrodniczy”.

Drugim pismem ogrodniczym, oddającym temu zawodowi wielkie usługi, jest „Przegląd Ogrodniczy”, przekształcony z „Miesięcznika Ogrodniczego” we Lwowie i to pismo borykało się z losem, jako organ Małopolskiego Towarzystwa Ogrodniczego; i ono z braku środków ulegało chwilowemu zawieszaniu; i ono niosło w świat oświaty kaganiec, dzięki pełnej zaparcia pracy redaktorów, najprzód Antoniego Wróblewskiego, a następnie i do dziś Stefana Makowieckiego.

Ale wytrwałość i tu zwyciężyła. Ciężar finansowy wzięła na swe barki ruchliwa i zasłużona firma wydawnicza B. Połonieckiego, i prowadzi pismo ku lepszemu jutru. „Przegląd Ogrodniczy” to miesięcznik, przeznaczony dla najszerszych warstw czytelników. Prowadzony popularnie, żywotnie, służy radami i wskazówkami zarówno sferom wiejskim, jak ogrodnikom na posadach, jak wreszcie miłośnikom, którzy na własnym skrawku ziemi hodują rośliny.

Niestety, wysiłków pełna praca kierowników pism nie znajduje dostatecznego oddźwięku wśród tych, dla których jest przeznaczana, ani wśród sfer, które wiedzą swoją winną ją popierać. Ogrodnicy — praktycy zazdrośnie tają olbrzymie skarby wiedzy, nagromadzone w ciągu długich lat pracy na zagonie, z liczby tych zaś, którzy piórem władają, jedni większą część życia spędzają nie wśród roślin, lecz przy biurku, innym brak śmiałości do zgłaszania swoich spostrzeżeń. Należałoby szczerze pragnąć, żeby jednostki z pośród tych dwóch typów łączyły się ze sobą do wspólnej pracy na niwie piśmienniczej, a wówczas literatura zawodowa zyskałaby wiele dzieł nieocenionej wartości.

Stan. Schönfeld.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

PARĘ UWAG O OTYŁOŚCI I ZBYTNIEM ODTŁUSZCZANIU

W obecnym czasie, bardziej niż dawniej, zwraca się baczną uwagę nie tyle na piękno twarzy, ile na harmonię całej postaci kobiecej.

Moda nakazała poczytywać za piękną kobietę szczupłą i wiotką.

Natura nie zawsze okazuje się posłuszną każdorazowym nakazom, tak często zmiennej mody. Dziś:

nakazuje ona kobietom pogoń za smukłymi liniami.

Kobieta dzisiejsza stara się gorączkowo prowadzić kurację odtłuszczającą, nie zwracając uwagi, czy na przesadnie odtłuszczanie stan zdrowia jej pozwala. Czy wżamian za piękną linię „nie” robi sobie szkody przez nabycie poważnego, chronicznego cierpienia.

Moda, mimo swoich najdziwniejszych fantazji, pozostanie jeszcze bardzo długo wszechwładną władczynią kobiet.

Królowa ta nakazuje dziś pod grozą wykluczenia ze świata elegancji i szyku nie być zanadto otyłą.

Wszelka przesada bywa jednak zębna dla zdrowia i estetycznego wyglądu.

Kierowana temi względami, postanowiłam podzielić się z Sz. Czytelniczkami „Bluszczu“ pewnymi zasadniczymi uwagami o nadmiernej otyłości i zbyt- niem odchudzaniu się.

Jakie przyczyny powodują tycie dotychczas ostatecznie nie zostało wyjaśnione. Zaburzenia w gruczołach o wewnętrznym wydzielaniu, wszelkie choroby jajników, wadliwa przemiana materji, nie- higieniczny tryb życia (np. za mało ruchu) mają powodować nadmierne osadzanie się tłuszczu.

Przy otyłości tłuszcz osadza się widocznie na zewnątrz na brzuchu, na szyi, ramionach i nogach. Znajdujemy również pokłady tłuszczu w organach wewnętrznych, w okolicach nerek i serca. Komórki szpiku kostnego nabierają wiele tłuszczu, a w póź- niejszym okresie otluszczenia przychodzi do zwy- rodnienia mięśnia sercowego, wskutek czego wystę- pują ciężkie zaburzenia chorobowe.

Niższy stopień nagromadzenia i wzmoczenia tkanek tłuszczowych na- zywamy otyłością — wyższy stopień: otluszczeniem.

Faktem jest, że otyłość powstaje wskutek zwiększonej ilości dowozu ciepła przez wprowadze- nie nadmiernej ilości pokarmu. Nagromadzenie tłuszczu w ciele nie następuje tak długo, jak długo zużycie stoi w równym stosunku z dowozem. Jest to stan równowagi, do której powinniśmy dążyć.

Posiadanie pewnej ilości tłuszczu dla każdego normalnego organizmu jest konieczne.

Jest to zapas na czas niedostatku, ochrona przed utratą ciepła i przed urazami mechanicznymi. Każdy człowiek, który tyje, spożywa więcej pokarmu, ani- żeli odpowiada to zapotrzebowaniu jego organizmu.

Zwykle spotyka się trzy ewentualności: 1) ilość dowozu równa zużyciu — równowaga zachowana; 2) ilość dowozu większa — zużycie mniejsze — powstaje otyłość; 3) ilość dowozu zmniejszona — zapotrze- bowania nie pokrywa, następuje schudnięcie.

U ludzi zamożnych, mało pracujących fizycznie, u kobiet w ciąży, nagromadzenie się tłuszczu bywa zwiększone.

Bardzo ważnym czynnikiem przy otyłości jest dziedziczność, następnie skłonność wrodzona do tycia.

Czasem występuje okresowo nagłe schudnięcie, lub utycie.

Otyłość zwykle występuje b. stopniowo i powoli.

Zniesienie funkcji płciowych (u zwierząt kastracja), u ludzi operacyjne usunięcie gruczołów płciowych daje nagłe utycie.

Osobniki chore na cukrówkę, paraliż, skłonne są do otyłości, a odwrotnie otyli mają skłonność do cukrówki i artretyzmu.

Otyłość sama przez się jest b. przykra. Przy otyłości ruchy są utrudnione. Oddychanie i praca serca wzmożona.

Otyli są mniej ruchliwi, b. leniwi do pracy fi- zycznej, często i do umysłowej. Temperament zwykle posiadają flegmatyczny.

Ciekawe jest spostrzeżenie znane wśród laików, że ludzie otyli są dobrzy, łagodni i spokojni, szczupli zaś często bywają złośliwi, źli i niespokojni.

Prawdopodobnie tłuszcz u ludzi chudych spala się bardziej intensywnie.

Lenistwo powoduje coraz większe tycie. Pot i łój nadmiernie występuje u otyłych w miejscach zetknięcia się dwóch płaszczyzn, a więc pod pa- chami, pod piersiami u kobiet, w pachwinach i na częściach rodnych, powstają odparzenia i wypryski.

Wypryski te są bardzo trudne i odporne do le- czenia, a przytem niesłychanie męczące i denerwu- jące chorych.

Przy otyłości praca serca jest bardzo wzmożo- na i człowiek musi podnosić większy ciężar ciała, naczynia otluszczone stawiają większy opór, serce obrośnięte tłuszczem porusza się znacznie trudniej, by pokonać zwiększony opór. Mięsień sercowy z po- wodu zwyrodnienia nie działa tak sprawnie.

U zdrowego i normalnego człowieka zwiększo- ną pracę serca pokrywa się przyrostem serca, które się jednak może tylko do pewnego stopnia powięk- szać. Wkońcu występuje osłabienie serca, duszność, ból, obrzęki na kończynach i w jamie brzusznej.

Przy otyłości jest skłonność do wczesnego zwapnienia żył, wtedy przy najmniejszym wysiłku fizycznym może nastąpić pęknięcie naczynia i nagła śmierć.

U osobników otyłych narząd oddechowy jest upośledzony, występuje u nich utrudnione oddecha- nie, męczący kaszel, co zwiększa pracę serca, i sta- nowi nową przyczynę osłabienia mięśnia sercowego. Otyli zawsze są skłonni do zaparcia stolca, cierpią na stałe zaburzenia przewodzenia pokarmowego.

Funkcje płciowe przy otyłości są również upoś- ledzone. U kobiet występują zaburzenia w mie- śniaczkowaniu.

Wreszcie spotyka się zaburzenia w nerkach, wątrobie i śledzionie.

Otyłość jest bardzo poważną wadą, której na- leży się pozbyć, nie tylko z powodów estetycznych, lecz też ze względów zdrowotnych. Ileż to chorób gorączkowych, jak grypa, zapalenie płuc, organizm otyły z osłabionym sercem nie jest w możności zwalczyć.

Jak zapobiec otyłości? określić kiedy mamy do czynienia z nadmierną otyłością jest to bardzo trud- ne zadanie.

(c. d. n.)

dr. J. Świtalska.



UMIĘTNOŚĆ OSZCZĘDZANIA W GOSPODARSTWIE DOMOWEM

(Na podst. art. p. R. Cerna pod tymże tytułem „Nowá Práce” Nr. 6*).

W dzisiejszych trudnych warunkach życiowych, gdy nie tylko poszczególne rodziny, czy instytucje, ale całe państwa stają wobec poważnego zagadnienia bytu, kwestja urządzenia codziennego życia jest problemem niezmiernie wagi. Od ułożenia wewnętrznych stosunków w każdej rodzinie, od ładu, porządku i odpowiedniej atmosfery zależy niejednokrotnie i niemal całkowicie charakter członków danej rodziny.

Jednym z ważniejszych czynników rozwoju życia rodzinnego jest umiejętność oszczędzania, która nieraz może stanowić nawet o losie całego zespołu ludzi, którzy tworzą rodzinę. Trzeba do niej przyzwyczajać wszystkich od najmłodszych lat. Z natury rzeczy rola ta przypada najczęściej matce, jako gospodyni domu, która dzierży ster rządów w domu i całość gospodarki ma na swojej głowie. Oszczędność oczywista powinna być mądrze i celowo stosowana. Na czymże polega oszczędność? oszczędnością więc jest:

1. Nabywanie niezbędnych przedmiotów z możliwie małym wydatkiem.
2. Utrzymywanie ich w dobrym stanie, używając tak, by najdłużej służyły.
3. Sporządzanie przedmiotów potrzeby w domu, o ile można własną pracą.
4. Używanie ich z największą wydajnością (zużywanie aż do resztek).
5. Zbieranie i składanie zaoszczędzonych pieniędzy na odsetki.

Oszczędność ma być mądra — więc należy oszczędzać we wszystkich wydatkach, ale tak, by na tem nie ucierpiały potrzeby życia codziennego. Trzeba więc umieć wybrać z pomiędzy rzeczy pożądaných — potrzebne, a z tych najkonieczniejsze.

Każdy artykuł powinno się kupować w najlepszym gatunku, w ten bowiem sposób oszczędza się pieniądze i czas, któryby się musiało zużyć na kupowanie nowej rzeczy, gdyby poprzednia była w złym gatunku. Następnie należy umieć utrzymać każdą rzecz w należytym stanie i porządku, żeby trwała jaknajdłużej. Każdy więc przedmiot w mieszkaniu powinien mieć ściśle oznaczone miejsce i sposób w jaki się z nim trzeba obchodzić, a rolą gospodyni jest przyzwyczajać wszystkich domowników do przestrzegania oznaczonego porządku.

Rzeczy uszkodzonych i trochę zużytych nie należy wyrzucać, lecz możliwie zreperować, lub przerobić do innego użytku, wiele przedmiotów nie jest jeszcze tak zniszczonych, by się już użyć nie

dały. Trzeba więc: 1. przestrzegać porządku, 2. naprawiać rzeczy uszkodzone, 3. wyrabiać w sobie zręczność i spryt do przystosowywania rzeczy zużytych.

Ogromne też zastosowanie ma oszczędność przy gotowaniu. Znowu jednak pamiętać należy, by oszczędności nie posuwać do skąpstwa, co byłoby bezcelowem, bo szkodziłoby zdrowiu. Najlepiej więc trzymać się pewnej normy racjonalnej w odżywianiu, podług niej odważać artykuły żywnościowe, by ilość ich była wystarczająca, a nie zostawało resztek — choć i w tym wypadku przedsiębiorczość i spryt gospodyni ma pole do popisu, gdy z resztek uczyni nową potrawę.

Robienie zapasów w odpowiednim czasie, gdy są najtańsze i umiejętne ich konserwowanie daje też duże zyski.

Wogóle oszczędzać można zawsze i wszędzie, czyniąc to nawet niepostrzeżenie, a korzyści, jakie z tego osiągamy, są nieoczekiwane.

Oszczędność ma być celowa — zaoszczędzone pieniądze należy pomnażać, jużto składając je jako kapitał na przyszłość, jużto puszczając je w obieg na rzeczy pożyteczne, a przynoszące dochód, jużto używając zaoszczędzonych pieniędzy na potrzeby kulturalne, bo te znowu pomnażają w nas kulturę ducha, będącą źródłem wszelkiej produkcji.

Trzeba tylko umieć oszczędzać, korzystać z każdej chwili, nie dać sobie zmarnować ani czasu, ani pieniędzy. Oszczędzony czas pomnaża siły i pracę, oszczędzony pieniądz mnoży kapitał, a więc wzbogaca nie tylko jednostki, lecz i państwo, wzmoczone zaś siły fizyczne i duchowe, dają typ człowieka silnego i zdrowego, który, mając w ten sposób zabezpieczony byt, powinien się stać pożytecznym i dzielnym członkiem swego społeczeństwa.

Oszczędność jest jednak umiejętnością, którą trzeba zdobyć drogą własnego doświadczenia, i wskazówek, które mogą nam dać inni.

W szeregu artykułów postaramy się wskazać sposoby oszczędności w różnych dziedzinach życia. H.

*) „Nowá Práce” — organ okręgu „Stowarzyszenia Przyjaciół Masarykowej Akademii Pracy”, które się utworzyło przy Akademii dla podtrzymania i popularyzowania jej poczyni. „Masarykowa Akademia Pracy” powstała w marcu 1920 r. jako instytucja niezależna, autonomiczna, mająca na celu organizację wszelkiej wytwórczej pracy przez racjonalne, najwydatniejsze wyzyskiwanie uzdolnień narodowych, oraz bogactw naturalnych państwa Czechosłowackiego.

W ODPOWIEDZI NA JEDEN Z LISTÓW

Między licznymi listami, adresowanymi do Redakcji „Bluszczu” na moje ręce, znalazł się jeden, na który w odpowiedziach od Redakcji odpisać nie sposób i na który w ogólności odpowiedzieć nie można, — bo odpowiedź powinna zawierać w sobie jakąś radę, jakieś wskazówki pomocnicze, — na ten zaś list można odpowiedzieć tylko serdecznym współczuciem, szczerem zrozumieniem sytuacji i westchnie-

niem do Boga, aby już raz stosunki u nas ułożyły się inaczej, żeby już raz ta nasza wyswobodzona Polska wszystkim dzieciom swoim stała się prawdziwą matką.

Autorka listu, powołując się na mój artykuł w „Bluszczu” „O oszczędności”, na i to, że powiedziała łamw nim, iż ziemianki są w lepszych warunkach, niż panie z miasta, wykazuje, że się mylę, że jedynie

jedno mają ułatwienie życiowe, że one i ich rodziny mają stale co jeść, nie zamęczając się myślą „co dam jutro na obiad” — natomiast, — użyję tu słów autorki listu: „Jesteśmy w tem trudnym położeniu, że budżetu ułożyć nie jesteśmy w stanie, bo w gospodarstwie niema nic pewnego, gdyż czy zboże się urodzi, czy nie urodzi, pogoda zbiorowi sprzyja, lub nie, musimy każdy pracą wywalczony grosz obrócić na zapłatę służby folwarcznej, najmu, podatku, ratowania budynków, uzupełnienia straconego inwentarza martwego i żywego etc. etc. bo nasz warsztat musi być w r u c h u. Jesteśmy tem sitem, na w którym po trząśnięciu nie pozostaje nic, — wszystko poszło na uruchomienie gospodarstwa, — a my stoimy wobec wielu obowiązków społecznych, osobistych, a nawet towarzyskich wobec — zera! Musimy walczyć ze złodziejstwem na każdym kroku, na każdym zagonie, z klęskami elementarnymi, z opieszałością i złą wolą ludzką, — obarczeni jesteśmy nieproporcjonalnymi podatkami, wygórowanymi cenami najmu, wyzyskiwani, gdzie się da. Tanio użytkowych rzeczy nie można kupić, — trzeba za nie płacić wysokie ceny, nie stojące w żadnym stosunku do cen produktów, sprzedawanych przez nas. Jedno mamy tylko, że głodu nie cierpimy, ale przyzna chyba każdy, sprawiedliwie patrzący człowiek, że i nam należałoby się prócz sytości żołądka, mieć jakiś czysty zysk od włożonego kapitału — bo nam ziemia z nieba nie spadła i za całoroczną intensywną pracę. Zdaleka nasze życie przedstawia się jako łatwe i swobodne, — nam zaś wydaje się egzystencja mniej ciężką, gdy się wie na czem się stoi, to jest na stałej cyfrze i gdy w dodatku mieć można od czasu do czasu jakąś rozrywkę. Dla nas rozrywką jest spokój niedzielny i zadowolenie, że przecież jest taki dzień w tygodniu, że nie trzeba brnąć po błocie, ani targać irytacją swoich nerwów.

W nawiasie dodam, że pomimo naszych starań, jesteśmy w przededniu bankructwa — o czem wszak każdy z nas wie. Miastem z tego powodu także się źle dzieje, bo nasza bieda odbija się na całym społeczeństwie. Możeby Szanowna Pani zechciała czytelniczkom „Bluszczu” przedstawić także odwrotną stronę medalu naszego życia na wsi.” — Prawie dosłownie podaję ten krzyk, z głębi serca pochodzący, właśnie dlatego, żeby te, narzekające na ciężkie warunki, pracujące inteligentki, żony urzędników i oficerów przekonały się, że los ich nie jest najgorszy jeszcze, że nie mają czego zazdrościć ziemiankom, tym do niedawna wybrankom losu. Sama przez lat dwadzieścia parę prowadziłam samodzielnie duże gospodarstwo na kilku folwarkowym majątku. Przed wojną, kiedy skala życia była bardzo duża, kiedy się miało liczną, oddaną, życzliwą, długoletnią służbę, sprężystą administrację, karną czeladź, tanie żelastwo, skóry, narzędzia, maszyny i inne potrzeby gospodarcze, — i wtedy już jednak o większą gotówkę było trudno i większą ilość książek i pism, częstszy wyjazd do miasta, modniejsze toalety większość sąsiadów uważała za karygodny zbytek. Dzisiaj, zrujnowane przez wojnę gospodarstwa, przygnębione podatkami, pozbawione zupełnie wykształconej i życzliwej służby, z rozpropagandowaną przez agitatorów, leniwą czeladzią, mogą dać właścicielom tylko nędzarską egzystencję.

Jeszcze dawna Kongresówka, mniej zrujnowana przez wojnę, dopiero teraz w ciągu dwóch lat ostatnich zaczęło odczuwać po dworach ciężkie warunki obecne. Kresy natomiast zniszczone doszczętnie,

i nie tylko nie otrzymujące pomocy rządowej, ani społecznej na odbudowę, mające ciągle jęczącą ranę waśni narodowościowych, podsycanych przez płatnych agentów ościennych wrogów, jęczą w skrajnej nędzy od pierwszego dnia powstania z martwych Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Dzięki szalonym wysiłkom kobiet polskich, — bo mężczyźni jeśli nie zginęli na wojnie, lub w czasie niewoli bolszewickiej, pracują w różnych samorządach, — powstaje i tam z popiołu coś w rodzaju dawnego dworu, — często rolę tę spełnia jakaś cudem ocalała chata pod słomą.

Cały zarobek męża, pracującego w sąsiednim miasteczku i cała praca żony, idzie na to, by zakupić kilka sztuk inwentarza i by zapłacić podatki, wyznaczane w takim rozmiarze, jak w najbardziej żyznych, kulturalnych i wojną nietkniętych dzielnicach zachodnich.

O meblach wygodnych niema mowy, stoły i ławy, łóżka z desek i sienniki, — jeździ się wozem chłopskim, — kresowym jednokonnym, z workiem siana zamiast poduszki — w najlepszym razie jednokonną liniijką na długiej giętkiej desce zamiast resorów. Suknia nowa, para lżejszego obuwia są zbytkiem, o który trudniej, niż dawniej o butony brylantowe. A jednak siedzą tam ludzie, trwają i nie dają się wyrzucić ze swej ojcowizny. I taka chata, zamiast dworu dawnego, jest pewnym ośrodkiem kulturalnym, z którego jak dawniej promieniają oświata, — książka i pismo za ostatni grosz nabyte, krąży od dworu do dworu i chętnie bywa pożyczane sąsiadowi, drobnemu dzierżawcy, lub gospodarzowi ze wsi. O poradę w gospodarstwie, o pomoc lekarską, — mimo szumnie brzmiących nazw agronomów powiatowych i sejmikowych, i takichże lekarzy, — ludność idzie do pani „ze dwora”, mieszkającej w izbie z pułapem i noszącej pantofle na bosych stopach, — bo pończochy kosztują. Jedno pozostało z dawnych, lepszych materialnie czasów — staropolska gościnność — „Gość w dom — Bóg w dom”. Każdą chwilę wolnego czasu, a żeby go mieć, — noc się pracy poświęci, — oddaje się krewnym i sąsiadom. Niema mowy o dawnych zbytkownych przyzwyczajeniach, — często bywa że najprostszyc rzeczy, na przykład cukru lub herbaty brak, nikogo to nie żenuje, przyjmuje się „czem chata bogata” — i jakie smaczne jest to „bogactwo”, ten cudowny chleb razowy, aromatyczne masło, bajeczne wędliny...

Ten obraz stanu materialnego ziemianstwa na Kresach i jednocześnie jego odporności, podaję w celu dodania otuchy miłej korespondentce, której list prawie cały pozwoliłam sobie, bez jej „autoryzacji” powtórzyć.

Sądzę, że gdybyśmy zrezygnowały z dawnej stopy życia, i wielu przyzwyczajęń, życie towarzyskie na wsi bardzoby się ożywiło, gdyż przyjęcie gości nie stałoby się kosztownym obowiązkiem, a li tylko towarzyską rozrywką. Tylko powiedzieć sobie stanowczo: oprócz herbaty i cukru nic nie kupuję! dzielę się tylko tem, co mam własnego w domu. Czytelnia ruchoma, składająca się z książek i pism perjodycznych w gęsto zaludnionych okolicach, kosztowałyby tak znikome sumy, że nie zaciężyłyby na najskromniejszym budżecie, — a do takiej czytelnicy możnaby wciągnąć i urzędników w miasteczku i nauczycieli ludowych i bodaj, że za możniejszych światłych gospodarzy ze wsi okolicznych, kosztaby się przy dużej liczbie udziałowców rozłożyły i stały minimalne.

Pani Elżbieta.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

MAJONEZ Z KURY LUB INDYCZKI.

Dużą, niestarą kurę, lub mniejszą indyczkę po starannem oczyszczeniu, opaleniu i umyciu ugotować w niedużej ilości wody, tylko tyle aby objęło, gdy zawrze zszumować, posolić, włożyć trzy duże marchwie, dwie pietruszki, pora i kawałek włoskiej kapusty, gotować wolno, aż drób i jarzyny zmiękną, kurę dla wystudzenia wyjąć. Oddzielnie ugotować pięć dużych, kruchych kartofli i pół szklanki dobrego, suszonego groszku. Kartofle pokrajać w jaknajdrobniejszą kostkę, tak samo jarzynki ugotowane na rosolu, dodać ogórek kwaszony, winkowate jabłko, pokrajane drobniutko i groszek, osolić wszystko do smaku, wlać parę łyżek oliwy, tyleż octu i dobrą łyżkę cukru, można też dodać łyżeczkę angielskiej musztardy. Do trzech szklanek rosolu dodać zimą 6, latem 10 listków żelatyny, sześć łyżek oliwy i dwie łyżki octu, włożyć trzy białka, postawić na lodzie i ubijać trzepaczką na krem, aż masa zacznie bieleć i gęstnieć. Na półmisku ułożyć w ładną piramidkę jarzyny, kurę pokrajaną w zgrabne kawałki, po odrzuceniu dużych kości, maczać w pianie majonezowej i układać wkoło półmiska. Do pozostałych żółtek dodać łyżkę musztardy angielskiej i łyżeczkę cukru, ucierać, lejąc po trochu, z najlepszą oliwą, dodając po kilka kropel dobrego octu, lub lepiej soku cytrynowego. Oliwy użyć dobrą filiżankę, gdyby sos był za gęsty rozprowadzić paru łyżkami zimnego rosolu. Sos ten można wylać na środek półmiska na jarzyny, lub też podać go oddzielnie w sosjerce.

ANTRYKOTY (ENTRECOTE) DUSZONE.

Antrykoty są to kotlety wołowe, robią się z tej samej części wołu co kotlety cielęce, krając każdy według kostki, naturalnie są odpowiednio duże. Takich więc dużych kotletów wziąć tyle, ile osób ma siąść do stołu, starannie uformować, zbić mocno, osolić i popieprzyć, jak na befsztyk. Wziąć nelsonkę, lub gliniany tygielek, wyłożyć plasterami słoniny, nakrajać dużo włoszczyzny: marchwi, pietruszki, selera, pora i najwięcej cebuli w paski. Cytrynę otrzeć z żółtej skórki na tarce, białą skórkę zupełnie zdjąć, cytrynę pokrajać na plastry, pestki odrzucić. Układać rzędami antrykoty, włoszczyznę, cytrynę, nawierzchni położyć parę plasterków słoniny, skórkę żółtą zdartą z cytryny, listek i kilka ziarn ziela. Zakryć pokrywą, oblepić, ciastem zagniecionem z mąki i wstawić na dwie godziny do pieca. Przed podaniem ciasto odjąć, tygielek owinąć serwetą i z nim podawać do stołu. Oddzielnie podać kartofle z wody, lub odgotowany, gruby makaron.

POŁĘDWICA Z TRUFLAMI.

Bardzo piękną, dużą i grubą połówkę oczyścić z tłuszczu i błon, cienki koniec odkrajać i użyć na co innego. Duży trufel pokrajać w paski i wziąć dwa razy tyle młodej słoniny pokrajanej w paski, cienkim szpikulcem, aby nie porozrywać mięsa,

szpikować gęsto połówkę. Włożyć do rondla na zarumienione masło, zrumienić ze wszystkich stron. Wypać pokrajane dobrze: marchew, pietruszkę, seler, porę, dwie cebule, wrzucić kilka ziarn pieprzu i ziela, gałązkę majeranku, listek, zalać dwoma szklankami rosolu i szklanką madery, kto lubi dodać młody grzybek suszony, lub parę pieczarek.

Dusić pod pokrywą na wolnym ogniu. Gdy połówka gotowa (nie powinna być przeduszona) wyjąć, sos precedzić, jarzyny przetrzeć przez sito, dodać drugą trufle, pokajaną w paski, raz zagotować, Połówkę pokrajać w cienkie plastry, krojąc nieco na ukos, aby plastry były większe, obłożyć garniturem: brukselką, karotką, groszkiem, fasolą zieloną, kasztanami, włoskim makaronem, krokietkami z kartofli, lub kartofelkami smażonymi na surowo, zalać połową gorącego sosu, drugą połowę podać w sosjerce. Podawać bardzo gorące.

BEFSZTYK DOSKONAŁY.

Wziąć na to kawał najgrubszej połówki, nie odbierając od niej tłuszczu, zbić z lekka w całości, pokrajać na kawałki grubości dwóch palców, nie wybijając już więcej, tylko zrównać nożem, skropić oliwą, sokiem cytrynowym, popieprzyć, niech tak gładzine poleży, rozpalić na patelni trochę frytury wołowej, kłaść na nią befsztyki, smażyć na gwałtownym ogniu, aby się z obu stron na bardzo ciemny kolor zrumieniły. Chodzi tu o to, aby od razu uformować skórę rumianą, która przeszkadzała wypływaniu soku z mięsa. Tłuszcz też zaraz odlać, położyć na patelnię kawałek dobrego masła i na niem dosmażyć befsztyki już na wolnym ogniu. Solić przed samem smażeniem, albo nawet już na patelni po zrumienieniu. Można smażyć mniej lub więcej, zależnie od tego, jak kto lubi, zawsze tak przyrządzony befsztyk będzie soczysty.

Podawać z przysmażonymi kartofelkami, chrzanem struganym i masłem à la maître d'hotel; w tym celu kawałek śmietankowego masła zmieszać z garstką zielonej pietruszki, drobno usiekanej z sokiem z cytryny. Utrząć dobrze razem, dodać odrobinę pieprzu, uformować wałeczek i zastudzić. Gdy befsztyki już na półmisku, kładzie się po kawałku grubości palca na każdy befsztyk. Podawać natychmiast, aby się nie rozpuściło.

POTRAWY NAJPROSTSZE.

Kasza hreczana. Gruba kasza hreczana palona, lub obwarzana, aby po ugotowaniu była sypka i smaczna, robi się z bardzo suchych krup, — najlepiej jest, na dzień przed użyciem rozsypane cienką warstwą na blasze wsunąć na godzin parę do pieca po chlebie, lub pod blachę po skończonym obiedzie. Kaszę sparza się wrzątkiem, zagotowuje raz, soli, wkłada tłuszcz: w dni mięsne słoninę, przepioną wraz ze skwarkami, w postne masło, przesmażone z cebulą, miesza dokładnie, zakrywa szczelną pokrywą i wstawia pod blachę, lub do pieca na dwie do trzech godzin, nie mieszając wcale. O ile

DR. MED. J. ŚWITALSKA

Choroby skórne i kosmetyka lekarska. Ordyn. wyłącznie dla kobiet od 5-7 (dla pań z prowincji w święta od 2-3). Krucza 31 m. 3 tel. 102-77

piec zbyt piecze od dołu podłożyć pod garnek cegłę, aby się kasza nie przypaliła. Kaszę hreczaną łamaną gotuje się inaczej. Sparza się ją wrzątkiem i gotuje często mieszając, aby się nie przypaliła. Gdy ziarenka się zupełnie rozgotują, soli się kaszę i polewa słoninką topioną wraz ze skwarkami, masłem przesmażonym z cebulką, lub podaje ją do świeżego mleka, ta kasza nie powinna być sypka, przeciwnie winna być doskonale rozgotowana. Anatorowie majeranku do jednej i do drugiej dodają nieco drobno utartej aromatycznej tej trawki. *Pani Elżbieta.*

KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

Radom. Kazimiera H.

Nie można dać środka prawdziwie skutecznego, nie widząc Pani włosów i nie badając całego organizmu. Przedewszystkiem trzeba znaleźć przyczynę wypadania włosów. Z Pani listu odnoszę wrażenie, że przyczyna może leżeć w anemji i w łojotoku. Jeżeli chodzi o anemję należy leczyć podstawową chorobę — przy łojotoku wycierać lekarstwem, receptę którego podaję:

Resorcini
Sulfidol aa 10,0
Spir. camph. 20,0
Spir. vini rectific. 100.

Nacierać należy 2 tygodnie, zrobić jeden tydzień przerwy, znów 2 tygodnie nacierać, znów zrobić przerwę i trzeci raz 2 tygodnie nacierać. Włosy wymagają stałej pielęgnacji, dla tego po wskazówce odsyłam Panią do mojej książki „Piękno i zdrowie w życiu kobiety“, mającej się w tych dniach ukazać w sprzedaży.

Kutno. J. J.

Skoro Pani skóra nie znosi mydła, należy myć twarz bez mydła w letniej wodzie, dodając łyżeczkę boraksu.

Na liszaje i opierzchnięcie pomoże „Mój Krem“, stosując go obficie. Na listy prywatne z prośbą o poradę w zasadzie nie odpowiadam, proszę czytać uwagi ogólne.

J. Gordonowa.

Jeżeli chodzi pani o usuwanie włosów na twarzy i rękach — chwilo — wo usuwa depilator, na stałe zaś elektroliza — zabieg kosztowny i uciążliwy (za jednym posiedzeniem można usunąć za ledwie 12 włosów).

Dr. J. Świtalska.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 6

102. Palto z szarego zamszu przybrane futrem
103. Kostjum z granatowej gabardiny z kloszową falbarą.
104. Palto brązowe przybrane futrem.
105. Suknia sukienna popielata przybrana haftem.
106. Suknia ciemno-fioletkowa, galon haftowany.
107. Suknia z sukienka koloru bois de rose, przybrana brązowymi plisami.
108. Suknia z wełny w kratę.
109. Suknia z lila atlasu i georgette'y, przybrana różyczkami z georgette'y i złotymi listkami.
110. Suknia z popeliny białej przybrana jedwabiem w czarnej i białej paski.
111. Suknia z brązowej wełny i welwetu.
112. Suknia granatowa, przybrana czarną taśmą.
113. Strojna tunika z georgette'y rezedowej w dwóch ciętniach.
114. Bluzka wełniana z żabotem haftowanym.
115. Bluzka sukienna przybrana haftem.
- 116—117. Modne fasony spódnic.
118. Bluzka z deseniowej popeliny.
119. Kamizelka z deseniowego brokatu.
120. Wzór na poduszkę — haft richelieu.
121. Wzór haftu do matinki z Nr. 1.

NADESŁANE DO REDAKCJI

(za dział ten redakcja nie odpowiada).

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

20-to letniej. Czystą, świeżą cerę będzie Pani miała, myjąc się na noc w letniej wodzie OTRĄBKAMI ABARIDOWEGO. Po wytarciu wetrzeć cokolwiek nie tłustego kremu ABARIDOWEGO i przypudrować takimże pudrem. Rano twarzy nie myć, tylko odświeżyć watą, zmoczoną w płynnym GOLDKREMIE ABARIDOWYM, który wciera się do sucha i nadaje twarzy świeży wygląd.

P. S. M. Usteczka najlepiej odświeża płyn ROSEIN, który nadaje im naturalny kolor i ma tę wyższość nad pomadkami, że nie ściera się, nie plami i jest zupełnie niewidocznym. Brw trwale przyciemni Pani EXELSIOREM do brwi.


Hannie L. Resztki opalenizny zejść przy użyciu kremu PRECIOZA. Dobrze jest po natarciu PRECIOZA, przypudrować

twarz i ręce na noc, obficie wybielającym pyłkiem JUVENIA CANDIDA. Na czerwoność nosa radzę stosować Thiol-crem i płyn NOSALIN.

Wesołej. Aksamiłne delikatne i gładkie rączki będzie Pani miała, stosując PATE DE PRELATS, który jest najlepszym środkiem do rąk, działa szybko i niezawodnie.

M-me Ercedès.

Sład Główny wymienionych tutaj środków: „PERFECTION“, Szpitalna 10, w Warszawie.



Płatki owsiane tylko w tem opakowaniu w całym świecie znanem są towarem pierwszorzędnym. **Quaker Oats** zawierają najbardziej odżywcze składniki wyborowego gatunku owsa i są **najodpowiedniejszym pokarmem dla dzieci i dorosłych.**

Quaker Oats

„LAMBRO“ Sp. z ogr. odp. Warszawa. Niecała 8 tel. 76-56.



SAIPOIX
 MYDŁO PŁYNNÉ DO MYCIA GŁOWY
 ZAPOBIEGA WYPADANIU WŁOSÓW
 TOWAR. FR. KARPINSKI w WARSZAWIE

ZAKŁADY OGRODNICZE **C. ULRICH** założ. w 1805 r. w
 Warszawie, S. A.

Centrala — Ceglana 11.

zawiadamiają, że wyszedł z druku

CENNIK NASION NA ROK 1926

i rozsyłany jest na żądanie.

Krem
Miaflor
 udelikatnia i odświeża cerę, Chroni twarz i ręce
 przed pękaniem.
 HENRYK ŻAK - POZNAŃ, Fabryka perfum i kosmetyków.

157

Wydany przez nas bardzo starannie,

ZBIÓR MONOGRAMÓW

zawierający przeszło sześćset wzorów od wykwintnych do najskromniejszych, dorównywuje pod względem wykonania zagranicznym tego rodzaju wydawnictwom, a mając charakter swoisty, bardziej odpowiada wymogom domu polskiego.

Każdy, nie umiejący nawet haftować, z naszego „ZBIORU” (ze względu na ilustrowane pouczenia) skorzystać potrafi.

Za jeden monogram płacicie Panie około 2 zł; cena naszego „Zbioru” wraz z przesyłką pocztową wynosi tylko 5 zł.

Wysyłka natychmiastowa po nadesłaniu pieniędzy przekazem pocztowym. Za zaliczką wysyłamy tylko po otrzymaniu 1 zł. znaczkami pocztowymi.

ADMINISTRACJA „BLUSZCZU”

Warszawa, Krak.-Przedm. 99.

Konto P. K. O. 3700.

Matki dbające o higienę dzieci
używają

MYDŁO HIGIENICZNE
i
PUDER „DLA DZIECI”

Wyrobu Laboratorium Apteki
M. MALINOWSKIEGO
Warszawa, Nowy Świat 31.

Zawiadamiamy Sz. Panie Prenumeratorki, że
w Administracji naszej są do nabycia dołą-
czone do „Bluszczu” w latach 1924 i 1925

ARKUSZE WZORÓW

naturalnej wielkości, robót ręcznych do kopjowania

Arkusze te można nabyć w cenie 30 gr. za
sztukę, z przesyłką pocztową zwykłą 35 gr.,
poleconą 65 gr.

Komplet arkuszy z 25 szt. kosztuje 7 zł., z przesyłką 7 zł. 50 gr.

152

W ADMINISTRACJI „BLUSZCZU” SĄ DO NABYCIA NASTĘPUJĄCE KSIĄŻKI:

Zofja Machowiczowa	„Zbiór Monogramów” z przesyłką	zł. 5.—
J. Conrad	Sześć Opowieści	„ 1,95
„	Smuga Cienia	„ 1,95
J. London	Odszczerpieniec	„ 0,95
E. G. Wells	Wehikuł Czasu	„ 0,95
W. Gomułcki	Siódme Ament	„ 0,95
A. Dumas	Dama Kameljowa	„ 0,95
Winawer	Lepsze Czasy	„ 0,95
W. Grubiński	Nowele	„ 0,95
Tetmajer-Przerwa	Waterloo	„ 0,95
G. Maupassant	Miłość	„ 0,95
„	Panna Fiń	„ 0,95
J. London	Opow. Mózg Południowych	„ 0,95
J. Kraszewski	Hr. Cosel t. I.	„ 0,95
„	„	„ 0,95
„	„	„ 0,95
J. London	Ostatni z Siekierzyńskich	„ 0,95
„	Syn Słońca	„ 0,95
„	Serce Kobiety	„ 0,95
„	Wilk Morski t. I.	„ 0,95
„	„	„ 0,95
„	„	„ 0,95
„	„	„ 0,95
„	Zew Krwi	„ 0,95
„	Wyga	„ 0,95
Dygasiński	Złamane Życie	„ 0,95
K. Dickens	Opowieść Wigilijna	„ 0,95
Mark Twain	Król i Osioł	„ 0,95
E. Ligocki	Powrót Beatryczy	„ 0,95

KOSZTA WYSYŁKI ZWYKŁEJ 15 GR. — POLECONEJ 45 GR.

PO OTRZYMANIU ZNACZKAMI POCZTOWEMI WYMIENIONEJ SUMY, KSIĄŻKI
WYSYŁAMY NATYCHMIAST POCZTĄ.

PRENUMERATA „BLUSZCZU”

z przesyłką pocztową wynosi
Rocznie—57 zł. 60 gr., kwartalnie—14,40, miesięcznie—4,80.
Zagranicą: miesięcznie—8 zł. Zmiana adresu 30 gr

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście (Plac Zamkowy) № 90,
Telefon Nr 239-40 Konto czekowe P. K. O. Nr 3960.